

SERCE CHOPINA

SERCE CHOPINA

czyli węzeł gordyjski

Wizja reżyserska
Jerzego Antczaka

Powieść szkatułkowa

Copyright ©2024 by Jerzy Antczak
Copyright for this edition©2024 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska
REDAKCJA: Iwona Hardej, Justyna Kobus
KOREKTA: Iwona Hardej
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

KONCEPCJA GRAFICZNA: Jerzy Antczak
PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski
SKŁAD: Positive Studio
ZDJĘCIA: archiwum prywatne Autora

Wydawca oraz Autor dołożyli wszelkich starań, aby uzyskać wszystkie potrzebne zgody na publikację zamieszczonego w książce materiału – osoby omyłkowo pominięte prosimy o kontakt z wydawnictwem.

WYDANIE I

ISBN OPRAWA BR: 978-83-66451-31-5
EAN OPRAWA BR: 9788366451315

ISBN E-BOOK: 978-83-64980-33-9

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Projekt współfinansowany przez Stowarzyszenie Filmowców Polskich





CZEŚĆ PIERWSZA

WYZNANIE

Jest piątek przed północą z dwunastego na trzynastego kwietnia 2014 roku. Nie mogę usnąć. Przewracam się z boku na bok i po skołatanej łepetynie tłuką się różne myśli. Całe życie opowiadałem historie moich bohaterów głównie poprzez obraz, używając słowa tylko wtedy, kiedy jest to absolutnie konieczne dla jasności sytuacji. Nie jestem powieściopisarzem, a reżyserem-scenarzystą. I wyznam szczerze, Czytelniku, że teraz przeżywam rozterki. W filmie dysponuję bowiem kamerą, której obiektyw, będąc moimi oczami, pozwala w jednej sekundzie zamknąć w wyrazie twarzy czy wzroku bohatera niepojęte emocje. Tymczasem w powieści czy nawet krótkim opowiadaniu dla opisanego stanu duszy bohatera czy bohaterki potrzeba kilku, a nawet więcej słów.

Moja przygoda z Chopinem ciągnie się od 1946 roku. To właśnie wtedy w Opolu mój profesor fortepianu, Hieronim Kekin, któregoś dnia po lekcji podszedł do regału z książkami i powiedział: „Tutaj mam bogatą literaturę dotyczącą Chopina, którą zbierałem całe życie. Gdybyś chciał sobie w tym pogrzebać, czuj się jak u siebie w domu. I zwróć uwagę na Ludwikę, siostrę Chopina. Według mnie, jest ona najtragiczniejszą postacią w całym jego życiu”.

Wręczył mi trzy powieści o życiu Chopina: *Słowik*, *Ból pamięci* i *Szepty duszy*, po czym dodał: „Przeczytaj. Ciekawi mnie, co ty o nich myślisz”.



MOIM KOCHANYM: JADZI I MIKOŁAJOWI

Książki te napisali obcokrajowcy nie znający polskich realiów. Ludwika została potraktowana w nich marginalnie. Autorzy sprawiają wrażenie, jakby nie rozumieli bogactwa jej charakteru i wagi obecności w najbardziej dramatycznych chwilach życia Chopina.

Moja pasja i zacierzwienie wyraźnie przypadły profesorowi do gustu. Wyciągnął z półek dwie biografie Chopina uważane za kultowe: czterotomowe dzieło Ferdynanda Hoesicka *Chopin życie i twórczość* i równie opasłe Fredericka Niecksa *Fryderyk Chopin jako człowiek i muzyk*. Wręczając mi książki, profesor powiedział: „Obie prace są bardzo rzetelne. Ale niestety, tak jak wszystkie inne bagatelizują siostrę Chopina. Jej tragiczne życie. A według mnie ona jest kluczem do odczytania tajemnicy Chopina”.

Kilka tysięcy stron połknąłem w ciągu tygodnia. Niestety, w morzu informacji, wydarzeń i postaci Ludwika była ledwie widoczna. I to mnie bardzo rozdrażniło. Zadałem sobie pytanie: „Jaki jest powód spychania jej na boczny tor?”. I nagle załopotало mi w łepetynie, że Fryderyk Chopin i jego siostra, łącząca ich niezwykła więź, to genialny pomysł na powieść. Może to być coś zupełnie nowego, czego dotąd nikt nie badał wnikliwie. Nawet najbardziej uznani przez świat znawcy Chopina.

Postanowiłem napisać tę powieść, o czym powiedziałem profesorowi. Jego reakcja była entuzjastyczna. Udostępnił mi swój bogaty księgozbiór dzieł o Chopinie i jego czasach.

Od września 1948 do kwietnia 1949 roku napisałem około tysiąca stron maszynopisu. Mam go do dzisiaj. Sięgałem do niego, pisząc z Jadzią nasz oryginalny scenariusz do filmu *Chopin – pragnienie miłości*.

Z prawej rysunek Pierre-Roché'a Vignerona z 1833 roku. Poniżej mój filmowy Fryderyk – jest to rok, kiedy po występie u baronowej Rotschild przed Fryderykiem otworzyła się wielka kariera!

Dlaczego więc nie napisałem książki o Chopinie, skoro nagromadziłem tyle cennego materiału, nawet na film?

Otóż kiedy w maju 1949 roku miałem już wiele gotowych sekwencji z pełnymi dialogami i przymierzałem się do uporządkowania całości, los gwałtownie zmienił nurt rzeki mojego życia. Zdawałem do Szkoły Aktorskiej i zostałem przyjęty. Chopin poszedł w odstawkę.



Profesor umarł w 1951 roku, kiedy byłem na drugim roku studiów. Po pogrzebie jego żona, pani Zofia, przekazała mi wiele bezcennych biografii chopinowskich z biblioteki męża. Wręczając mi je, powiedziała smutno: „Hieronim całe życie marzył, aby napisać książkę o Chopinie i jego siostrze. I bardzo bolał, że pan przestał się interesować tematem. Ale wierzę, Jerzy, że kiedyś pan do tego wróci”.

I jak widzisz, Czytelniku, słowa te były prorocze. Po niemal sześćdziesięciu latach wracam do tematu. Nie będzie to jednak powieściowa biografia Fryderyka Chopina, tylko reżyserska wizja, opowieść o losach jego serca. Oparta na udokumentowanych faktach, ale rządząca się prawami literatury pięknej. Dająca autorowi ograniczone koncesje na pewne dowolności, a właściwie na interpretację. Zawsze jednak z pełnym poszanowaniem idei bohatera i jego osobistych przeżyć.

*

Wierzę, że znaki zodiaku mają wpływ na charakter człowieka. Zobaczymy więc, co astrologia mówi na temat Barana, bowiem pod tym znakiem urodziła się Ludwika, siostra Chopina.



Otóż Baran jest pierwszym znakiem zodiaku. Osoby urodzone ze Słońcem w tym znaku muszą być wszędzie i zawsze pierwsze. Nie interesują ich długie rozważania ani planowania. Ważne jest dla nich dziś. Barany mają siłę przebicia. Nie ma dla nich rzeczy niemożliwych. Od najwcześniejszych lat wykazują zdolności artystyczne, zwykle muzyczne i literackie.

Najbardziej zżyta z Fryderykiem, Ludwika uczyła go czytania i pisanja po polsku i francusku. Była jego opiekunem i powiernikiem. Napisała

mazura oraz kilka mazurków. Wrażenia z podróży na Śląsk zapisała w książce *Podróż Józia z Warszawy do wód szląskich przez niego samego opisana*. Opublikowała rozprawkę *O pisaniu dzienników* (w Noworoczniku „Pierwiosnek” 1838). Jak widać, Ludwika była obdarzona talentem literackim. Dlaczego więc nie mamy nigdzie śladu zapisu jej spojrzenia na życie Chopina? Przecież nikt inny z rodziny nie był tak blisko niego w czasach młodości, do chwili wyjazdu z kraju, a potem od sierpnia do siedemnastego października 1849 roku, kiedy towarzyszyła bratu w jego ostatnich chwilach, spędzając z nim wiele godzin na rozmowach. Były to niezgrabne słowa pociechy, wspomnienia, czasem kłamstwa, których tak pragnie chory człowiek. Słuchała jego ostatnich wynurzeń i prośb, kiedy pogodzony ze śmiercią był do bólu szczery. Wreszcie, opuszczona przez męża, zdana tylko na pomoc przyjaciół, zносиła trudy pogrzebu i porządkowania schedy po zmarłym.

A zatem mogłaby napisać o nim przejmującą książkę, stawiając tamy plotkom i wymysłom, którymi naszpikowane jest życie jej wielkiego brata. Dlaczego więc nie pozostawiła po sobie literackich śladów? To pytanie zaintrygowało mnie. Postanowiłem znaleźć na nie odpowiedź.

Jak wynika z listów do Ludwiki, likwidującej w Paryżu wszystkie sprawy brata, Kalasanty dyktował jej arbitralnie każdy krok. Nie mógł być więc zadowolony, że przywiozła do Warszawy serce brata, nie prosząc go o zgodę. Nietrudno zatem sobie wyobrazić, co się działo w domu, kiedy Kalasanty zobaczył słoik z sercem Fryderyka. Potem dowiedział się jeszcze, że Ludwika zamierza starać się o umieszczenie tej narodowej relikwii w kościele Św. Krzyża. Bez wątpienia obawiał się, że może to zaszkodzić jego sprawie.

W jaki sposób subtelna, wrażliwa Ludwika potrafiła przeciwstawić się brutalności i agresji męża? Dałem profesorowi do przeczytania rezultaty moich poszukiwań i sensacyjne odkrycia „drugiego dna duszy Kalasantego”. Uznał je za rewelacyjne i wręczył mi kilkanaście kartek. A oto jego komentarz:

Daję ci najbardziej wiarygodny opis wydarzeń, dotyczących losów serca Chopina oraz gehenny, przez jaką przeszła jego siostra. Autorem tych notatek jest ksiądz Eligiusz Sotkiewicz, proboszcz kościoła Św. Krzyża w Warszawie. Przyjaciół Justyny Chopin i Ludwiki.

Był nie tylko ich spowiednikiem, ale powiernikiem duszy w najtrudniejszych chwilach życia. Jako Postulator w przewodzie, który miał przekonać kurię biskupią, że Chopin, choć nie był świętym, zasługuje na to, aby jego serce było umieszczone w górnej nawie kościoła, zarezerwowanej dla świętych, przeprowadził dużo rozmów nie tylko z Justyną Chopin i Ludwiką, ale i pozostałymi członkami rodziny, jak również z przyjaciółmi.

Rozmawiał z tymi, którzy bezgranicznie kochali Chopina, widząc w nim geniusza pozbawionego wad. Ale nie stronił od tych, którzy oceniali go krytycznie, dostrzegając, a nawet wyolbrzymiając wszystkie przywary człowieka poddanego pokusom. I wreszcie jako Postulator zmierzył się z Lustratorem, który w finale procesu bez litości wyciągał wszystkie negatywne cechy Chopina, uciekając się do najpodlejszych chwytów.

Zapisy tych rozmów nie zostały dotąd udostępnione światu. Słowa księdza Eligiusza Sotkiewicza jako naocznego świadka wydarzeń są dokumentem pokazującym bezwzględność „obrońców wiary” w całej jej grozie, nie odbiegającą paleniu na stosie, zsyłając do niebytu.

W głębokim poczuciu misji człowieka i kapłana, który dla przekazania prawdy nie może pominąć żadnego źródła, ksiądz Sotkiewicz, sięga niekiedy do tajemnicy spowiedzi. Za swojego życia pod groźbą ekskomuniki nie mógł opublikować tego dokumentu. Jego uczciwość kazała mu jednak sporządzić taki zapis dla potomnych.

Moja matka jest z rodu Sotkiewiczów i ten dokument był przechowywany w jej rodzinie jak relikwia. Może właśnie Bóg tak zrzędził, abyś Ty zrobił to, o czym marzył ksiądz Sotkiewicz. Ujawnił światu prawdy tragedii Ludwiki i dramatycznych losów serca Chopina.

Jak dotąd prawie żaden z biografów nie zbadał tego problemu, traktując go jako marginalny. Z różnych względów. Jedni z lęku przed wszechmocą Kościoła. Inni z braku talentu, który nie pozwalał im dostrzegać prawd, jak w wypadku Kalasantego, schowanych bardzo głęboko przed oczyma ludzi.

Jest to „biały kruk”, który chowałem na koniec, wierząc, że Twoja kwerenda przyniesie rezultaty, choć nie przypuszczałem, że zajdziesz tak daleko i głęboko.

Życzę Ci powodzenia, Jurku!

Mam przed sobą kilkadziesiąt kartek gęsto zapisanych, w których kryje się dramat serca Chopina i walki Ludwiki o jego miejsce w górnej nawie kościoła. Przeczytałem je z wielkim wzruszeniem. Uznałem, że ksiądz Sotkiewicz, wieloletni przyjaciel domu Chopinów, wciągnięty w pasmo ich rodzinnych dramatów, a zwłaszcza Ludwiki jako jej spowiednik, znał najbardziej czułe i delikatne sprawy jej życia. A zatem może być narratorem całości powieści.

Ale po kilku przemyśleniach doszedłem do wniosku, że wiedza księdza dotyczy głównie losów Ludwiki i kręgu jej rodziny. Tymczasem przeciw siostrze Fryderyka, walczącej o spełnienie ostatniej prośby brata, stanęła grupa wrogów, do których ksiądz Sotkiewicz nie miał bezpośredniego dostępu. Musiałem znaleźć więc jeszcze jedno źródło, które pozwoliłoby mi penetrować motywy działań przeciwników Ludwiki i tych wszystkich, którzy sprzyjali Fryderykowi.

Po długich rozważaniach doszedłem do wniosku, że używając księdza Sotkiewicza jako narratora wydarzeń, będę go musiał wspierać swoją obecnością. Moja źródłowa wiedza i wyobraźnia uzupełnią to, czego nie jest w stanie przekazać ksiądz Sotkiewicz. On jako naoczny świadek wie, jak było naprawdę. Ja jako autor mogę przewidywać, jak mogło być i jakie padały wówczas słowa. Postanowiłem zatem dzielić rolę narratora z księdzem Sotkiewiczem. Pozwolę go sobie przedstawić.

Wstęp do swoich notatek ksiądz Sotkiewicz zatytułował *Moje słowa prawdy*. A oto, co w nich napisał:

Jest Rok Pański 1875. Mam osiemdziesiąt pięć lat, z czego sześćdziesiąt spędzonych w kapłaństwie. Długi czas byłem proboszczem kościoła Św. Krzyża w Warszawie. Do osiemdziesiątego trzeciego roku życia prezentowałem się jako okaz zdrowia. Niestety, ostatnio zacząłem podupadać mocno na zdrowiu i chyba przyszła pora zacząć pakować się do podróży.



Całe życie należałem do niepokornych sług Kościoła, przywykłych mówić głośno to, co myślą. W związku z tym byłem na bakier z kurią biskupią. Hierarchowie nawoływali mnie pod groźbą ekskomuniki do poskramiania ostrego języka. Głównie jednak chodziło o Krzyż Orderu Virtuti Militari, który nosiłem na piersi, co rzekomo było niezgodne z kościelnym regulaminem. Nakaz ten był naciągnięty przez władze kościelne w celu przypodobania się władzom Królestwa Polskiego, które będąc z rosyjskiego nadania, tępiły, gdzie mogły, symbole związane z powstaniem listopadowym 1831 roku.

Jako kapelan połowy 1 Pułku Strzelców Pieszych brałem udział w bitwie pod Olszynką Grochowską, gdzie pod gradem artylerii rosyjskiej wynosiłem z pola bitwy ciężko rannych, a nawet umierających. Aby odeszli wśród swoich. Za wyczyn ten zostałem odznaczony Virtuti Militari. Z pułkiem przebyłem całą kampanię bojową.

Tyle o przeszłości księdza Sotkiewicza. Teraz powinniśmy przejść bezpośrednio do reżyserskiej wizji.



Dlaczego akurat „węzeł gordyjski”? Węzeł gordyjski jest to kunsztownie zawiązany lub, jak chcą inni, bardzo splątany węzeł z dereniowego łyka. Połączone nim były jarzmo i dyszel starego królewskiego wozu – daru wotywnego, umieszczonego przez frygijskiego króla Gordiasa lub jego syna i następcę Midasa w świątyni Zeusa w Gordion we

Frygii (obecnie Centralna Anatolia). Wedle przepowiedni wyroczni człowiek, który rozplącze węzeł, zostanie panem Frygii, lub – według innych wersji – całej Azji.

W 333 r. p.n.e. Aleksander Macedoński przybył do Gordion i dowiedział się o przepowiedni. Ponieważ w tym czasie przewodził podbojowi imperium perskiego, postanowił rozwiązać węzeł, by udowodnić, że to on jest tym, który zdobędzie Azję. Według najpopularniejszej legendy Aleksander, gdy zorientował się, że nie rozplącze węzła w sposób konwencjonalny, dobył miecza i po prostu go przeciął. Według innej – wyciągnął dyszel, rozłączając w ten sposób części wozu.

Współcześnie „węzeł gordyjski” oznacza skomplikowaną, trudną lub niemożliwą do rozwiązania sytuację. Określenie „przecięcie węzła gordyjskiego” stało się natomiast synonimem rozwikłania takiej sytuacji posunięciem nie zawsze trzymającym się reguły. Jako autor tej opowieści nie będę wzorem Aleksandra Macedońskiego brutalnie rozciął gordyjskiego węzła, a zadam sobie modlitewny trud jego rozplątania. I jeżeli znalezienie odpowiedzi, dlaczego Ludwika nie napisała książki o swoim wielkim bracie, jest zadaniem bardzo trudnym, równie trudnym, niemal niemożliwym jest dotarcie do duszy Chopina, o której Liszt w swojej biografii napisał tak:

(...) trudno określić stopień jego wewnętrznych irytacji. Choć mogły być bardzo bolesne, nigdy nie ujawnił ich temperatury. Sekrety wewnętrznych wzburzeń ukrywał przed wścibskim wzrokiem. Pokrywał je nieprzenikalnym całunem pogody i wyniosłej obojętności. Podejrzewam, że nawet jego najbliżsi nigdy nie dostali się do wnętrza twierdzy, w której mieszkała odgradzona od codziennego życia dusza. Forteca, w której się ukrył, wchłonęła go tak głęboko, że nie sposób powiedzieć, czy kiedykolwiek istniał fizycznie jako człowiek.

Jak się przebić przez ścianę tej twierdzy? I tutaj chyba znalazłem trop. Otóż w budowaniu osobowości Chopina istnieje pięć prawd bezspornych. Pierwsza to dorobek muzyczny, druga listy, które są bogatym źródłem jego duchowego świata. A pozostałe trzy to dwa zdjęcia oraz maska pośmiertna. Są to najbardziej widoczne i jedyne wizualne ślady jego fizycznej obecności na ziemi. Reszta jest formą domysłów. Interpretacji! A najczęściej konfabulacji!!!!



Autorem tego zdjęcia jest najwybitniejszy fotograf epoki, L.A. Bisson. Było zrobione w lutym 1849 roku, tego samego dnia, kiedy po nieudanym pobycie w Anglii Chopin wrócił do Paryża. Schorowany. Psychicznie zdruzgotany. Aby utrwalić na kliszy, przyjaciele zaciągnęli go do Bissona.

Ludwika, siostra Chopina, przyjechała w sierpniu 1849 roku do Paryża. Do siedemnastego października, a więc do śmierci brata, czuwała przy jego łóżu, aby potem zająć się pogrzebem, porządkowaniem jego spraw materialnych, wreszcie przemycić do kraju jego

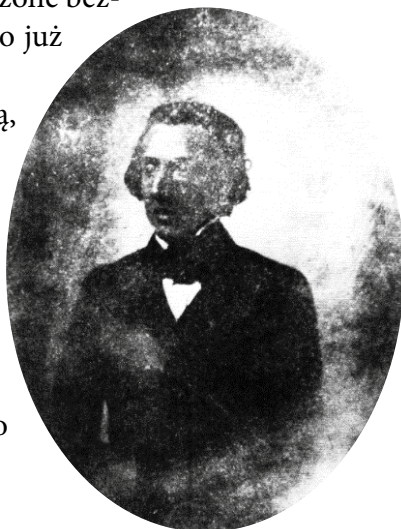
serce z zamiarem umieszczenia urny w górnej partii kościoła.

Zetknęła się z Bissonem następnego dnia po śmierci Fryderyka. Uparł się, aby go uwiecznić na łóżu śmierci. W niszy było za mało światła. Błagał o przesunięcie zwłok pod okno. Nie zgodziła się. Nie chciała go pamiętać umarłym!

Spojrzymy uważnie na omawiane zdjęcie. Patrzy na nas cierpiąca twarz człowieka bez nadziei. Smuga cienia na twarzy. Opuchnięty nos, obrzęki pod oczyma, obwisy. I oczy – pełne żalu. I jeszcze ręce... W białych, chopinowskich rękawiczkach. Złożone bezradnym ruchem na krzyż, zdają się mówić: to już koniec!

Trzymała to zdjęcie w szufladzie z karteczką, na której napisała: Jakie to szczęście, że mama nie była świadkiem jego cierpienia. A tego zdjęcia nie pokażę jej nigdy. Matka powinna pamiętać syna takim, jakim chce go widzieć jej miłość. Nie wolno ludzi obdzierać z iluzji!

Zdjęcie po prawej to dagerotyp z roku 1840, kiedy sztuka fotograficzna była dopiero



na drodze do pełni wyrazu, który już widzimy u Bissona. Chociaż obraz jest bardzo niedoskonały, nietrudno zauważyć wszystkie cechy wytworności Chopina. A więc doskonale skrojony frak. Misternie uwiązany fular. Układ ciała. Piękny zarys kształtu głowy z wydatnym chopinowskim nosem.

Po śmierci Chopina powstało morze publikacji usiłujących rozwiłać złożoność jego charakteru, odkryć ukryte na dnie duszy tajemnice, ale nikt poza Lisztem w książce pt. *Fryderyk Chopin* nie ujął bardziej przekonująco jego wyglądu:

Ufryzowane włosy miały jedwabistą fakturę. Nos odrobine zakrzywiony. Jego zachowanie i wytworne maniery naznaczone były taką dystynkcją, że musiano traktować go jak księcia. Wzrostu średniego. Członki ciała wątłe. Przypominał powój trzymający w równowadze na niezwykle smukłej łodydze bosko ukolorowany kielich, którego tkanka jest tak delikatna, że najdrobniejszy kontakt z nią może zranić a nawet rozerwać mglistą koronę płatkową.

I na koniec maska pośmiertna Chopina. Jej *rigor mortis* jest porażający w swojej sile wyrazu i stanowi bolesny kontrast do obu zdjęć Chopina zrobionych za jego życia, kiedy stając przed obiektywem kamery, mógł decydować o emocjach. Maska pośmiertna ma w sobie nieubłagana prawdę, że powstając poza świadomością bohatera, zdana jest na fakturę gipsu, który zalewa twarz.



A teraz krótko o dramatycznych okolicznościach powstania tej maski. Następnego dnia po śmierci Fryderyka Solange i Clésinger zwrócili się do Ludwiki z prośbą o zgodę na odbicie gipsowej twarzy Fryderyka oraz jego obu dłoni. Procedura zdejmowania maski jest przykra. Szczególnie chwila, kiedy na twarz zmarłego wylewa się gips. I potem czeka, aż okrzepnie. Niestety, rezultat okazał się gorzej niż tragiczny. Odlana maska ukazywała męczarnie agonii Fryderyka, czego

nie było widać gołym okiem. Wyraz twarzy zmarłego był przerażający.

Ludwika straciła kontrolę nad nerwami i dostała ataku hysterii. Krzyczała. Przeklinała. Płakała. I gdyby nie czułość i perswazja księżnej Czartoryskiej i Grzymały, którzy wyblągali, aby wyraziła zgodę na wyretuszowanie odlewu, jak chciał Clésinger, maska Fryderyka zostałyby na jej rozkaz zniszczona na zawsze!



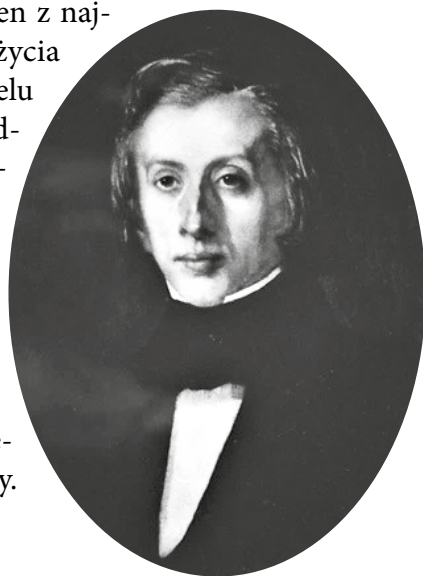
Ponieważ gipsowy odlew maski wywoływał uczucie smutku, Teofil Kwiatkowski, wybitny malarz, wielki przyjaciel Chopina, wykonał kilka kolorowych szkiców jego głowy spoczywającej na śmiertelnym łożu. Kolorowe ryciny, wykonane z wielką starannością, przyciągają uwagę, ale gubią ów *rigor mortis*, który jest cechą

szczególną ostatniego wizerunku Chopina zastygłego w gipsie. Czarno-biała rycina na kamieniu, wykonana przez wybitnego rzeźbiarza Bolesława Podczaszyńskiego według jednego z rysunków Teofila Kwiatkowskiego, łączy ze sobą piękno i dostojność *rigor mortis*.

Kwiatkowski, serdeczny przyjaciel Chopina, zwany również pierwszym portrecistą mistrza. Częsty gość w jego domu. Świadek śmierci.

Bogata twórczość Kwiatkowskiego obejmuje kameralne szkice portretów. Z około 1843 roku pochodzi jeden z najlepszych portretów, jakie powstały za życia Chopina, malowanych również przez wielu innych malarzy. Chopin był bardzo trudnym modelem. Niecierpliwy. Wymagający. Peszący często malarza swoim stylem bycia.

Wieczory, jakie Kwiatkowski spędzał w domu Chopina, jego przyjaźń i otwartość Fryderyka, zostały zarejestrowane w tym portrecie. Kwiatkowski wszedł do duszy naszego kompozytora, tworząc dzieło genialne pod względem wyrazu i formy.



Nie mamy czasu, aby zaprezentować całą galerię nieudanych albo średnio udanych portretów Fryderyka Chopina.

Ten portret Ary Scheffera jest uznawany przez wielu za najwybitniejszy. Jest to rok 1847, kiedy Fryderyk szybkimi krokami zbliżał się do śmierci.

A oto opis Elizawiety Szeremietiewej: Niedużego wzrostu, szczupły blondyn, ma szare, dość duże oczy, wydatny nos, małe usta z wyrazem zdradzającym cierpienie... wysokie białe czoło. Zmarszczki przy ustach nadają twarzy gorzki wyraz. Gdy się uśmiecha, można odczuć, że ten człowiek cierpiał...



1. „Widok Krakowskiego Przedmieścia ku Ulicy Nowy Świat w Warszawie”
Mieszkanie Chopinów przy Krakowskim Przedmieściu № 410
(Lewy pawilon pałacu jen. Wincentego Krasińskiego, drugie i trzecie piętro)
Akwainta Fryderyka Krzysztofa Dietricha

PROLOGDALEJ NIŻ NIENAWIŚĆ

Józef Kalasanty Izajasz Franciszek Jędrzejewicz ormiańską krew i urodę odziedziczył po ojcu. Głowa kształtna. Dominuje w niej hebanowa czerń gęstych włosów. Cera śniada, nos lekko zakrzywiony, zjadliwe oczy zdradzające pewność siebie i arogancję, które Kalasanty starannie ukrywał, a raczej kontrolował. W 1832 roku poślubił starszą siostrę Fryderyka Chopina, Ludwikę.

Był czerwiec 1849 roku. Czując, że jego dni są policzone, Fryderyk pisze do Ludwiki list. Pod jej nieobecność przejmuje go Kalasanty. Szarpany zawiścią do Chopina z powodu jego sławy, przetrzymuje go kilka tygodni. Trzepiąc surduta męża, Ludwika przypadkiem znajduje kopertę.

Stojąc na środku salonu Justyny Chopin, trzymając surduta w prawej dłoni, Kalasanty ryczał tubalnym głosem:

– Jak miałaś odwagę wkładać pazury do cudzej kieszeni? To jest nikczemność! Za takie czyny zakuwa się przestępców w dyby!

Zwrócił się do stojącej obok Justyny Chopin:

– I niech mi mama powie, co mam zrobić z jej córką? Podać do publicznej wiadomości, że moja żona popełnia czyny kryminalne? Przecież tego wybaczyć nie można!

– List od Fryderyka znalazłam w kieszeni twojego surduta...

Kalasanty zaskoczony zamilkł.

Trzymając list od Fryderyka w dłoniach, Justyna podeszła do niego. Miała siedemdziesiąt lat, ale wyglądała młodziej. Aksamitna karnacja twarzy, nos z lekkim garbkiem, gęste włosy przyprószone siwizną, upięte w grecki węzeł. Niebieskie oczy kryły łagodność spojrzenia.

– Czekałam, tak jak Ludwika, na list od Fryderyka. Zamartwiałam się, dlaczego nie pisze. Mordowałam naszego listonosza, czy aby uważnie sprawdzał, bo czasami można przeoczyć ważny list. Odpowiedział mi bez wahania: „Pięć tygodni temu pan sędzia Jędrzejewicz odebrał list od pana Fryderyka”. Kalasanty, dlaczego zataiłeś przed nami ten list?

Spojrzała na zięcia z pogardą, po czym zaczęła czytać:

– „Moje Życie, jeżeli możecie, to przyjedźcie. Słaby jestem i żadne doktory mi tak jak Wy nie pomogą. Jeżeli pieniędzy Wam brak, to pożyczcie. Jeżeli będzie lepiej, to łatwo zarobię i oddam temu, kto Wam pożyczycy. Ale teraz zbyt goły jestem, żeby Wam posyłać”.

Kalasanty skrzywił się.

– Dobrze! Godzę się na wyjazd. Ale pod warunkiem, że matka Chopina opłaci twoje koszty. Ja moje i Ludki.

Justyna z trudem opanowała emocje.

– Bardzo bym chciała być w tych ostatnich chwilach Fryderyka przy nim. Ale nawet jeżeli sprzedam zaręczynowy pierścionek od twojego ojca Ludwiko oraz wyciągnę oszczędności przeznaczone na czarną godzinę, będzie za mało, aby pojechać do Fryderyka z całą rodziną. Jako najstarsza z rodzeństwa, jedź ty Ludwiko z mężem. I bądźcie z naszym dzieckiem do samego końca.

Kalasanty warknął szorstko:

– Otrzymanie paszportu w krótkim czasie będzie niemożliwe. Car nie zapomni Fryderykowi odmowy przyjęcia stanowiska Pierwszego Pianisty Petersburskiego Dworu.

Ludwika patrzyła na niego z pogardą. Jej pociągła, blada twarz i orli „chopinowski” nos zdradzały pokrewieństwo z Fryderykiem. Czarne, kręcone włosy opadały po obu stronach głowy. Piwne oczy miały w sobie wszystkie cechy zodiakalnego Barana: twardość i nieustępliwość.

Powoli cedziła słowa:

– Księżna Obreskow jest w Warszawie. Chce się ze mną zobaczyć. Wierzę, że ona mi pomoże.

*

W tym czasie namiestnikiem Królestwa Polskiego był Iwan Fiodorowicz Paskiewicz. O jego okrucieństwach krążyły legendy, przydające mu cech psychopaty. Tymczasem jego szlachetne rysy i łagodność w twarzy zaskakiwały. Siedział wyprostowany, a jego długa szyja zdawała się wyskakiwać z jarzma wysokiego kołnierza, ozdobionego złotym szamerunkiem. Po drugiej stronie jego biurka zasiadła księżna Obreskow, zjawiskowej urody kobieta o nieskalanym profilu i wielkich,

szklistych oczach. Trzymała w drżących dłoniach list od Fryderyka. Mówiła cichym głosem:

– Fryderyk Chopin umiera w Paryżu. To jest jego list do rodziny.

Namiestnik wziął kartkę w dłonie. Zaczął czytać. Podniósł wzrok i popatrzył na księżną. Piękna kobieta wyraźnie go podniecała.

– To bardzo smutny list... – Wyciągnął z szuflady grubą teczkę. Położył na blacie stołu.

– Tutaj są raporty naszych służb specjalnych, które całe lata śledziły i spisywały przewinienia pana Chopina wobec imperium rosyjskiego. Czy pozwoli księżna, że przeczytam jeden z raportów?

Księżna odpowiedziała gorliwie:

– Oczywiście...

Namiestnik czytał. Głos miał niski, donośny.

– „Raport numer 163. Rok 1835. W Paryżu ma miejsce wydarzenie, którego bohaterem jest szwagier niejakiego Kalasantego Jędrzejewicza, męża starszej siostry Chopina, Ludwika. Otóż ksiązę Pozzo di Borgo, ambasador Rosji we Francji, w imieniu cara Mikołaja I zaoferował temu słynnemu fortepianiście pozycję Pierwszego Pianisty Carskiego”. – Spojrzał w oczy księżnej. – Przechodzę teraz do grzechu umierającego autora listu. Otóż na pytanie Włocha: „O ile wiem, nie brał pan udziału w tej awanturze 1831 roku przeciwko Rosji?” Chopin odpowiedział: „To nie była awantura! To był zryw narodu polskiego o odzyskanie niepodległości. Niestety, los nie pozwolił mi walczyć, a nawet umrzeć na polu bitwy. Ale całym sercem byłem z tymi, którzy walczyli. Ambasadorze, proszę od tej chwili uważać mnie za uchodźcę politycznego”.

W oczach Rosjanina zapaliły się ognie.

– W 1831 roku sflumiłem krwawo awanturę, którą Chopin nazywa zrywem narodu polskiego. Przyznaję – zalałem Polskę morzem krwi. I właściwie jako „kat” powinienem do prośby o paszport odwrócić się plecami, ale nie zrobię tego. Po pierwsze wzruszyła mnie treść listu tego biedaka, a po drugie... kocham jego muzykę.

Księżna złożyła ręce jak do modlitwy. Ale nim wypowiedziała słowa podziękowania, namiestnik położył palec na ustach i wyszeptał:

– W liście Chopin użył takiego pięknego zwrotu: „Wszakże i cyprysy mają swe kaprysy; moim kaprysem jest Was tu widzieć”.

Uśmiechnął się do księżnej.

– Moim kaprysem jest wydać te paszporty!

Nie spuszczając z niej pożądanego spojrzenia, sięgnął po pióro. Napisał: „Wydać paszporty”.

Księżna posłała mu uśmiech wdzięczności, a on był coraz bliżej niej. Niemal dotykał wargami jej twarzy.

SALONY FRYDERYKA

Ludwika jechała do brata koleją żelazną, a nie jak dotąd dylizansem. Ten nowy rodzaj podróży gwarantował znacznie szybsze dotarcie do celu oraz komfort jazdy.

Kalasanty całą podróż był nadęty i obrażony. Po zajęciu miejsc w przedziale poinformował żonę:

– Myślę, że w Paryżu nie przykleisz dziecka do łóżka twojego brata. On już wziął swoje od życia. Ludkę trzeba oprowadzić po muzeach. Zaprowadzić do pracowni Clésingera. I w ogóle, jak tylko będzie można, oszczędzić dziecku widoku człowieka plującego krwią.

Ludwika z bólu przygryzła usta. Ludka przytuliła się do ojca i pocałowała go w policzek.

Pociąg spóźnił się. Fryderyk z Albertem Grzymałą czekali kilka godzin na dworcu d'Orsay. Noc była wilgotna. Powietrze przejmujące do szpiku kości. Fryderyk przyszedł w cienkim palcie. Skurczony. Trzymała go w ramionach, ale bała się przycisnąć mocniej, aby nie przebić na wylot. Był chudy jak szkielet. Kalasanty – hipochondryk, panicznie bał się kontaktu z ludźmi chorymi. Nie przyjął więc otwartych ramion Fryderyka.

*

Bogactwo i przepych mieszkania drażniły Kalasantego. Nie kryjąc zawiści, podszedł gwałtownie do oszklonej komody, gdzie leżały osobiste drobiazgi Fryderyka. Uwagę zwracały spinki do gorsu. Wytworne, w formie małych perełek na złotych podstawkach. Długo się im przyglądał i w końcu wycedził przez ściśnięte gardło:

– A te perły to prawdziwe?
 – Oczywiście – zaśmiał się Fryderyk. – A ten złoty serwis do kawy to od króla Ludwika Filipa.

Kalasanty podniósł spodeczek i przeczytał dedykację:

– „Fryderykowi Chopinowi król Filip”.

Trzymając filiżankę w rękach, Kalasanty powiedział:

– Gdyby to upłynnić, można by zebrać jak nic kilka tysięcy franków.

– Sprzedać? Pamiątki, prezenty? O czym ty mówisz? – wybąkał zaskoczony Fryderyk.

Podszedł do lektyki, stojącej w rogu pokoju. Jego twarz posmutniała.

– To jest mebel, który sprawiłem sobie po powrocie z Londynu. Nie lubię tego grata. W tej lektyce wnoszą mnie po schodach na górę. Nie mogę się wspiąć na piętro o własnych siłach. Jakie to szczęście, że już nie jestem sam ze swoimi myślami.

Uśmiechnął się do siostrzenicy.

Wieczorem, siedząc w sypialni na brzegu łóżka, Kalasanty warknął:

– Widziałaś? Każe się nosić w lektyce jak papież albo król! Poczekaj, będziesz mu uprzątać nocniki i wycierać nos, jak się posmarka. W liście napisał, że jest goły, a tu, gdzie nie spojrzeć, tysiące franków w złocie!

Przyjmowała te grubiaństwa z odrazą. Ludka milczała.

Rozpoczęły się bardzo trudne dni. Fryderyk, cierpiąc na bezsenność, budził siostrę po kilka razy w nocy. Wpadał gwałtownie do sypialni i szarpiąc za ramię, wołał półprzytomnie:

– Ludwiko, Ludwiko, chodź do mnie, muszę z tobą porozmawiać...

Wybudzony ze snu Kalasanty siadał na łóżku i pomstował ordynarnie:

– Noc jest od spania, a nie od wysłuchiwania bredni!

Ludwika odprowadzała Fryderyka do jego sypialni i trzymając czule w ramionach, wysłuchiwała zwierzeń. W większości były to czarne myśli.

Kalasantego najbardziej drażniło to, że Fryderyk ciągle biegał do siostry z plwociną w szklanych naczyniach i kazał sprawdzać, czy są tam ślady krwi.

– Zobacz... Zdaje się, że w plwocinie pojawiła się krew.

Ludwika widziała drobne krwawe punkciki. Ale odpowiadała spokojnie:

– To twoja wyobraźnia każe ci widzieć krew.

Układała go do snu, jak małe dziecko. A kiedy już zamknął oczy, z jej twarzy zniknął uśmiech i pojawiał się ból.

Następnego ranka podczas śniadania Fryderyk, trzymając w dłoniach filiżankę, podenerwowany zwrócił się do Ludwiki:

– Kto kazał pozaznaczać filiżanki?

– Ja – odpowiedział arogancko Kalasanty. – Żebym wiedział, z których naczyń jadam i piję. Nie chcę, byśmy z żoną i dzieckiem umarli na to samo, co ty.

Ludwika krzyknęła rozpaczliwie:

– Licz się ze słowami!

– Zamknij pysk! – ryknął Kalasanty. Podbiegł do Fryderyka. – Jak ci nie wstyd okłamywać rodzinę, że jesteś w biedzie? Wystarczy sprzedać trochę tych gratów. Wynająć kilka pielęgniarek, a nie maltretować po nocach rodzoną siostrę!

Fryderyk szarpnął Kalasantego za ramię.

– Nie masz prawa obrażać mojej siostry! I wynoś się z mojego domu!

Popchnął Kalasantego do drzwi. Ten jednak, mocny jak tur, wyrwał się z ramion chorego.

Następnego dnia spakował walizy i przygotował się do wyjazdu.

Fryderyk z Ludwiką próbowali go zatrzymać.

– Kalasanty, zostań. Błagam cię... i przepraszam – mówił Fryderyk.

– Nie dotykaj mnie! – odwarknął groźnie Kalasanty.

Ludka podbiegła do ojca.

– Tatusiu... Dlaczego wyjeżdżasz?

– Twoja matka i jej brat wypędzają mnie!

Ludwika podbiegła do męża. Spojrzała mu w oczy.

– Kalasanty, jak ci nie wstyd!

– Milcz! – zaryczał jej mąż.

Ludwika wraz z córką zostały w Paryżu z umierającym. Od chwili wyjazdu męża do śmierci Fryderyka pozostało siedemnaście dni. Oczywiście nasuwa się pytanie, co się w tym czasie działo w duszy Ludwiki. Zwłaszcza że narzucane przez stulecia obyczajowe rygory nakazywały żonie ukrywać rodzinne brudy w domowym zaciszu. Z takim kagańcem na ustach było nie do pomyślenia, by mogła komukolwiek ujawnić prawdziwe powody haniebnego czynu męża. Pozostała więc w Paryżu, okaleczona dwoma wyrokami. Wyrokiem śmierci na brata, którego agonię miała oglądać niemal minuta po minucie. Orzeczeniem milczenia, zakazującym na upuszczenie bólu do kogokolwiek.

Skąd u Kalasantego takie okrucieństwo? Jako sędzia pokoju musiał budzić społeczne uznanie, ponieważ o wybieralności na to stanowisko decydowała nieskalana reputacja. Skąd więc ta bezwzględność, aby zostawić żonę na pastwę losu?

Pamiętajmy też o tym, że był prawnikiem. Człowiekiem, który wiedział, że prawo jest jak guma i można je naciągać do woli. Aby zamazać ślady swojego okrucieństwa w stosunku do żony i umierającego Chopina, wiedząc, że księżna Marcelina Czartoryska, jedna z ukochanych uczennic Chopina, nie opuści Ludwiki w trudnych dniach, na pewno odbył z nią rozmowę. Oczywiście ukrywając prawdziwe powody swojego nagłego wyjazdu.

Kalasantemu udało się pomniejszyć swój haniebny czyn. Wyglądzić brutalne kanty. Biografowie życia Chopina poświęcają jego postępkom zaledwie kilka zdań, używając nad wyraz łagodnych określeń w rodzaju: „Niesforny!”. Albo: „Oj, nie popisał się pan, panie Kalasanty!”

KŁAMSTWA KALASANTEGO

W mieszkaniu Justyny Chopin późnym wieczorem rozległ się ostry dźwięk dzwonka. Justyna przyłożyła ucho do drzwi.

– Kto tam?

– To ja. Kalasanty.

Otworzyła drzwi. Kalasanty niemal wtargnął do mieszkania.

– Gdzie są dzieci?

– Henryk i dwoje najmłodszych śpią.

– To niech mama je budzi. Zabieram je do siebie.

Justyna wyszła. Kalasanty nerwowo chodził po pokoju. Niecierpliwie spoglądał na zegarek. Po chwili Justyna wróciła z dziećmi. Dwoje najmłodszych to sześciolatek Antoni i dziesięcioletni Bolesław. Trzeci syn Ludwiki, osiemnastoletni Henryk – wysoki, dobrze zbudowany, o czarnych, o gęstych włosach, przypominał ojca. Justyna trzymała chłopców za ramiona. Podprowadziła ich w stronę Kalasantego. Henryk poszedł za nią. Justyna, ciągle trzymając ręce na ramionach wnuków, mówiła przez ściśnięte gardło, jakby się bała usłyszeć prawdę:

– Wróciłeś? Dlaczego?

– Dlatego, że twój syn kazał mi opuścić swój dom.

– Kalasanty... Na miłość boską... Co się stało?

– Twój syn zachował się wobec mnie jak ordynarny cham. A twoja córka jest u niego za posługaczkę, którą budzi dziesięć razy w ciągu nocy. I potem trzyma przy łóżku do białego ranka!

– Przecież Ludwika po to pojechała, aby złagodzić jego cierpienia...

– Zamiast mnie bronić, wzięła jego stronę!

Justyna dygocąc z oburzenia, zwróciła się do wnuków:

– Dzieci, ojciec chce was widzieć u siebie. A jego wola święta. Będzie mi bardzo smutno bez was!

Podeszła do Kalasantego. W jej oczach pojawiły się łzy.

– Jak mogłeś zostawić żonę z moim umierającym dzieckiem? Ale niech cię za to osądzi Bóg!

Pycha nie pozwala Kalasantemu odejść przegrany. Wylewnym gestem objął najmłodszych synów za ramiona. Skinął głową w kierunku Henryka.

– Idziemy! Tam w domu wszystko ci wyjaśnię.

Henryk popatrzył z miłością na babkę. Ten czuły gest kazał Kalasantemu ochłonąć. Już będąc przy drzwiach, odwrócił się i powiedział łagodnie:

– A może tu nikt nie jest winien... I po prostu tak musiało być.

– Co musiało być?

– No to, że Fryderyk nie mógł dłużej na mnie patrzeć i znalazł pretekst, aby mnie zmusić do wyjazdu.

Zgarnął ramionami synów i szybko wyszedł.

Po niespełna kwadransie był już w swoim mieszkaniu na Podwalu, gdzie w salonie siedział Benon, przyrodni brat Kalasantego, łudząco do niego podobny.

Przywitał wszystkich wylewnie. Specjalnie wyróżnił Henryka. Wziął go w ramiona. Potrzęsął nim mocno.

– Poczyłem już pewne kroki, aby ci zabezpieczyć miejsce w Pułku Huzarów Imienia Jego Cesarskiej Wysokości Arcyksięcia Ludwika Austriackiego. Dostaniesz się tam za specjalną protekcją przyjaciół twojego ojca.

Henryk przyjął tę wiadomość chłodno. Kalasanty szarpnął brata za rękaw:

– To dziecko nie może zrozumieć, że są w życiu decyzje, które bez względu na to jak przykre i bolesne, muszą być podjęte.

Objął Henryka ramionami.

– Zaraz ci wytłumaczę, dlaczego musiałem opuścić Paryż. Ale najpierw zajmę się twoimi braćmi.

Zaprowadził chłopców do sypialni. Pomógł im się rozebrać, a potem położył ich główki na poduszkach. Pocałował w policzki. Następnie cichutko, na palcach wrócił do salonu. Zastał tu niedobłą atmosferę. Henryk ponuro patrzył w podłogę. Benon również był milczący.

Kalasanty usiadł naprzeciwko Henryka i rozpoczął swoją tyradę, jak na rozprawie w sądzie.

– Gruźlica jest to okrutny zabójca. Mogło się zdarzyć, że któreś z nas przez przypadek skorzystałoby z naczynia używanego przez twojego wujka. Aby ograniczyć możliwość zarażenia się śmiertelną chorobą, kazałem oznaczyć nasze filiżanki i talerze. Kiedy twój wuj to zobaczył, ryknął: „Kto kazał to zrobić?”. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że ja. Gdy drążył dalej, pytając, dlaczego to zrobiłem, wyjaśniłem: „Abyśmy wszyscy wiedzieli, z jakich naczyń pijemy i jadamy”. – Kalasanty spojrzął na Henryka wymownie. – Potem Fryderyk dostał ataku kaszlu i parsknął mi w twarz śliną pełną krwi: „Brzydzisz się moją chorobą, tak?”. „Tak. Brzydzę się!”. Zaczął krzyczeć: „Kim ty jesteś Kalasanty? Marnym sędzią pokoju. Kto ciebie zna? Jesteś małe, prowincjonalne gówno!”.

Kalasantemu wciąż się wydawało, że jego słowa nie robią na synu oczekiwanego wrażenia. Odbiegł więc na środek pokoju, aby z większej

odległości grzmieć jak prokurator:

– Takimi słowami synu obraża mnie człowiek, który uważa się za geniusza. U którego stóp klęczy cały Paryż. Co jest wynikiem jego umizgów. Bo twój wuj, jak chce, potrafi być miły jak łasica!

Podszedł gwałtownie do Henryka.

– On kończy swoje życie, które przetańczył w salonach Paryża. Wy je zaczynacie. Opuszczając Paryż, stanąłem w obronie waszego zdrowia. Z troski, aby jego śmiertelna choroba nie przeniosła się do naszego domu i, nie daj Boże, nie poraziła was wszystkich.

Henryk z trudem tłumi łzy.

Następne dni to dla niego pasmo cierpień. Nie może się pogodzić z zaistniałą sytuacją. Źle sypia. Godzinami siedzi na brzegu łóżka zapatrzony ponuro w podłogę.

Któregoś dnia Kalasanty wdziera się do jego pokoju. Potrzęsa trzymanym w rękach listem.

– Twojego wuja już nie ma. To jest list od księżnej Marceliny Czartoryskiej. Z krótkim dopiskiem twojej matki. Píše mi tylko dwa słowa. Idę do twojej babki przekazać jej treść tego listu. Pójdiesz ze mną. Chcę, żebyś był świadkiem mojej rozmowy.

*

Kalasanty z kamienną twarzą wręczył Justynie list.

– To pismo jest adresowane do mnie, ale niech mama przeczyta je sama. I proszę czytać głośno. Chcę, aby Henryk wszystko usłyszał.

Justyna ujęła list drżącymi dłońmi i zaczęła czytać:

– „Paryż, z wtorku na środę, siedemnastego października, druga w nocy, 1849. O mój najdroższy, już go nie ma – zdrowa jestem i Ludka – i ściskam Was w duszy. Pamiętaj o matce i Izabelli. Adieu.

Żona Pańska pielęgnowała go przykładnym sposobem. Bóg daje Jej ogromne siły fizyczne i moralne. Kazała Panu powiedzieć, że za parę dni napisze ze szczegółami. Prosi ona, aby Pan się nie troszczył o nią. Przyjaciele Chopina będą jej pomagali w ułatwieniu interesów, a co do drogi, mówi ona, że będzie mogła podróżować sama”.

Kalasanty podszedł do Henryka.

– Widzisz więc, jak moja obecność w Paryżu zawadzała twojej matce. I dlatego urządziła z bratem tę całą hecę, abym się uniósł honorem i wyjechał.

Mówiąc to, Kalasanty odwrócił się do syna:

– Idziesz ze mną.

– Tatusiu! Ja muszę zostać u babci!

– Dobrze, zostań. Ale pamiętaj, twój dom to Podwale...

Kalasanty wyszedł z mieszkania. Henryk chwycił Justynę w ramiona i zanosząc się szlochem, przytulił do serca. Potem ciężkim krokiem poszedł za ojcem.

DWORZEC KOLEJOWY W WARSZAWIE

Ludwika wróciła do Warszawy siódmego stycznia 1850 roku, dobrze po północy. Kalasanty nie czekał na nią na granicy. Ponieważ jego zdaniem najważniejsze decyzje podjęła w Paryżu, bez uzgodnienia z nim, poczuł się śmiertelnie obrażony. Na szczęście nie jechała sama. W podróży towarzyszyła jej Klementyna Matuszewska.

Matuszewska była niezwykłą kobietą. W czasie Powstania Listopadowego, z uwagi na biegłą znajomość dwóch języków – niemieckiego i francuskiego, pełniła rolę tłumaczki w sztabie dyktatora powstania, generała Józefa Chłopickiego. W bitwie pod Wawrem, kiedy sytuacja stała się dramatyczna, wstąpiła się również udziałem w walce na bagnety przeciwko wojskom generała Paskiewicza. Za ten czyn została odznaczona Krzyżem Virtuti Militari.

Nim Ludwika ją poznała, Matuszewska pracowała dla księżnej Marceliny Czartoryskiej. Gdy w oczekiwaniu na przyjazd siostry stan zdrowia Fryderyka pogorszył się gwałtownie i zaczęły go nękać problemy żołądkowe, księżna Marcelina Czartoryska przysłała mu ukochaną panią Matuszewską, aby czuwała przy nim w dzień i w nocy. Gotowała mu również delikatne posiłki.

Ponieważ Matuszewska zamierzała wrócić do Polski na stałe, Ludwika postanowiła zaproponować jej pracę w charakterze guwernantki. Jej ujmujący charakter i znajomość języków mogły stać się wielkim dobrem dla jej dzieci.

Napisała o tym do Kalasantego. W odpowiedzi usłyszała groźbę, że jeśli odważy się przywlec „tę Matuszewską z jej Virtuti Militari przyklejoną do cycków, on wyrzuci ją na mordę za drzwi!”. W następnym liście napisał zaś, że skoro wszystko do tej pory robiła bez jego zgody, powinna sobie poradzić sama w podróży od granicy do Warszawy.

Świadoma, że mógłby spełnić te groźby, po przyjeździe do Warszawy Ludwika najpierw pojechała do matki, aby tam zostawić panią Matuszewską i zobaczyć się z dziećmi będącymi na wychowaniu u babki.

Na jezdni leżał śnieg. Z głębi ulicy nadjeżdżała dorożka z podniesioną budą. Trzymał mróz. Dorożka zatrzymała się na brzegu posesji 183b. Pierwsza wysiadła Ludwika, tuż po niej starsza kobieta. Ludka wychyliła się z siedzenia i patrząc na numer domu, zawołała:

– Mamo, to nie jest nasze mieszkanie! Tatuś na nas czeka i będzie zły, że najpierw zatrzymujemy się u babci. Ja chcę do domu...

– Wracamy za kilka minut! – krzyknęła Ludwika do dorożkarza, wraz z kobietą podążając w stronę bramy.

Odprowadzał ją krzyk Ludki:

– Tylko nie siedź tam jak zawsze godzinami, mamo!

W mieszkaniu Justyny zmęczona Ludwika stanęła na środku salonu. W rękę trzymała kurczowo uchwyty podróźnej torby. Zwróciła głowę w stronę kobiety i podenerwowana powiedziała do Justyny:

– To jest pani Klementyna Matuszewska, o której mamie pisałam.

Justyna objęła Klementynę ze łzami w oczach.

– Na pewno jesteście zziębnięte. Zaraz dam wam gorącej herbaty.

– Nie, mamo. Dorożkarz czeka. Ludka też.

– Jak to... Nie chciała przywitać się z babką?

– Jest rozespana i... zmęczona podróżą – mówiła Ludwika nerwowo. – Ponieważ pani Matuszewska zamierzała wrócić do Polski na stałe, pomyślałam, by zaproponować jej pracę w charakterze guwernantki. Napisałam o tym do Kalasantego. Ale odmówił w ordynarnym tonie.

Gwałtownie wybiegła z pokoju.

*

Kalasanty przywitał żonę podniesionym głosem. Potrząsał jej przed nosem zegarkiem i warczał groźnie:

– Jest druga w nocy. Pociąg nie miał opóźnienia i według rozkładu jazdy był spodziewany planowo na dwunastą piętnaście. Sprawdziłem, ale jak sobie życzyły twoje księżne, zapewniając, że poradzisz sobie sama, nie czekałem. Ale teraz jako mąż mam prawo zapytać: Co robiłaś tak długo?

– Byłam u matki, aby zostawić panią Matuszewską.

– I co dalej z nią zrobisz?

– Nie wiem... Może znajdę dla niej jakąś pracę.

Ludka przytuliła się do ojca czule i zawołała:

– Tatusiu, jaka jestem szczęśliwa!

Kalasanty z czułością zdjął z niej płaszcz. Do pokoju wszedł Henryk. Widząc, że matka stoi sama, ściskając konwulsyjnie w dłoniach uchwyty torby, podbiegł do niej, pomagając zdjąć płaszcz. Ale kiedy usiłował wyjąć z jej rąk torbę, Ludwika zawołała gwałtownie:

– Nie!

Zwróciło to uwagę Kalasantego. Podszedł do żony. Popatrzył jej pogardliwie w oczy. Ludwika cofnęła się, przyciskając kurczowo torbę do piersi.

– Co masz w tej torbie?

– Serce.

Kalasanty wyrwał jej torbę z rąk. Otworzył. W środku był przedmiot okutany miękkim materiałem. Rozszarpał to okrycie i wydobył dość duży kryształowy słoik, hermetycznie zamknięty. W przezroczystym alkoholu znajdowało się serce Chopina.

Kalasanty był porażony sytuacją. Wydawało się, że rozszarpie żonę na kawałki. Ostatkiem sił stłumił furję.

Ordynarnie odezwał się do żony:

– W tej chwili jest procedowana moja nominacja na wysokie stanowisko radcy tytularnego. Kiedy namiestnik Królestwa dowie się, że jako mąż nie zapobiegłem popełnieniu przez żonę przestępstwa, może cofnąć swoje poparcie. Jutro wczesnym rankiem pójdziesz ze mną do Departamentu Inwigilacji w Pałacu Namiestnikowskim i zareportujesz władzy o wykroczeniu. – Ujął słoik w dłonie słoik z sercem Chopina. – A teraz zabierz ten śmieć i zejdz mi z oczu.

Spojrzała na niego z nienawiścią.

DONOS KALASANTEGO

Pałac Namiestnikowski. Stanowisko szefa Departamentu do Spraw Inwigilacji w rządzie piastował Mateusz Lubowidzki, wiceprezydent Warszawy.

Kalasanty był spięty, mówił z przejęciem:

– Proszę cię, Mateuszu, abys zaprotokołował moje oświadczenie: „Ja, Józef Kalasanty Izajasz Franciszek Jędrzejewicz, sędzia pokoju, doktor prawa i profesor Akademii Rolniczej na Marymoncie, świadom przestępczego czynu, jakiego dopuściła się moja żona, Ludwika z Chopinów, informuję, że zrobiła to bez mojej wiedzy. Nie tylko odcinam się od tego, ale żarliwie potępiam jej działanie. I proszę o zastosowanie restrykcji przewidzianych literą prawa”.

Po złożeniu tego podłego oświadczenia Kalasanty szybko opuścił gabinet. Po długim milczeniu Lubowidzki zwrócił się do Ludwiki:

– Niestety, z uwagi na rangę przestępstwa do czasu rozstrzygnięcia sprawy na „słoik” może być nałożony policyjny areszt. – Lubowidzki przekazywał tę informację wyraźnie speszony.

– Chcecie mi odebrać serce brata siłą?

– Jeżeli tak zdecyduje namiestnik, będziemy musieli wykonać ten rozkaz.

*

Podwale. Ludwika szła przez amfiladę pokoi jak sparaliżowana. Usiadła bezradnie na krześle. Kalasanty, pochylił się nad nią:

– Serce Chopina ma opuścić mój dom. Natychmiast! Niech czeka na wyrok namiestnika gdzie indziej. Choćby u twojej matki.

*

Justyna ścisnęła w dłoniach słoik z sercem Fryderyka. W półmroku serce zanurzone w alkoholu wydawało się trochę zamglone.

Trzymając słoik na wysokości oczu, Justyna zwróciła się w stronę stojącej na stole lampy. Postawiła słoik na blacie. Usiadła. Ludwika przysiadła obok niej.

Justyna podniosła słoik do strumienia światła. Widziała serce ze wszystkimi detalami. Oczy jej zaszkliły się, ale nie płakała. Kilka razy podnosiła słoik do oczu. Przekręcała to w lewo, to prawo, jakby się chciała upewnić, że to, na co patrzy, jest prawdziwe. Powstrzymywała wybuch płaczu, nie mogła jednak zatrzymać łzy, która wydostała się spod powiek i spłynęła po policzku.

Po chwili postawiła słoik na stole i powiedziała do Ludwiki:

– Mówił mi nasz kochany proboszcz kościoła Św. Krzyża, ksiądz Sotkiewicz, że zanim wmurowano na powierzchni kościoła serce Antoniny Hoffmanowej, najpierw umieszczono je w specjalnej skrzynce. Trzeba poprosić proboszcza o adres jakiegoś rzemieślnika, który i nam by taką skrzynkę zrobił.

W KOŚCIELE ŚW. KRZYŻA

Klemens Rembieliński miał osiemdziesiąt pięć lat. Poorana brudami twarz okolona puklami siwych włosów, opadającymi kaskadami na ramiona. Zwany pieszczotliwie „złotą rączką”, dokonywał renowacji mebli, lichtarzy, złotych odbłaskownic czy miniatur orderowych.

Ksiądz Eligiusz Sotkiewicz, osiemdziesięcioletni proboszcz kościoła Św. Krzyża, był atletycznej budowy. W męskiej, ogorzałej twarzy dominowały wyraziste oczy. Gęste włosy krótko strzyżone, na wzór wojskowy. Należał do niepokornych sług Kościoła, przywykłych mówić głośno to, co myślą. Do piersi sutanny miał przypięty Krzyż Orderu Virtuti Militari.

Pan Klemens spoglądał na niego czule, wzruszony zadaniem.

– Urnę z sercem pana Fryderyka trzeba umieścić w drewnianej skrzynce. Najlepiej mahoniowej. Będzie gładko polerowana. W jej wieko wpuszczę blaszkę w formie serca, na której wyrzeję napis zawierający dwie daty: urodzenia i zgonu naszego geniusza. Skrzynkę tę, dla ochrony przed wilgocią, otoczę płytami ołowianymi. Oczywiście

serce pana Chopina spocznie na powierzchni kościoła? Czy już ksiądz proboszcz wybrał miejsce?

– Taaaak... Tylko jeszcze nie rozmawiałem z władzami Kościoła – odpowiedział niepewnie ksiądz Sotkiewicz.

Klemens niemal krzyknął:

– Nie powinno być trudności. A jakby znaleźli się w kurii biskupiej nieżyczliwi, radzę udać się natychmiast do biskupa Dekerta. Był u mnie wczoraj i zamówił medal z podobizną pana Fryderyka. Wspominał dawne czasy, kiedy jako młody chłopiec był u państwa na stacji. Radzę pani profesorowej natychmiast zwrócić się do niego po protekcję. I jak zajdzie potrzeba, o ochronę...

Pan Klemens w euforii artysty wyciągnął rękę w stronę siedzącej obok Justyny, która trzymała przy piersi słoik z sercem, okryty pluszowym pokrowcem.

– No a teraz... Przepraszam za trywialność, ale muszę dokonać dokładnej miary słoika, aby dopasować do niego skrzynkę.

Justyna odkryła serce zanurzone w alkoholu. Twarz pana Klemensa stężała. Sięgnął po calówkę i zaczął mierzyć.

PRZESŁUCHANIE

Mateusz Lubowidzki spojrzął zza biurka na Justynę.

– Aby losom serca pani syna nadać właściwy bieg, trzeba odpowiedzieć pisemnie na następujące pytania: Dlaczego Chopin odmówił przyjęcia honoru Pierwszego Pianisty Cesarskiego Dworu? Jakie stosunki łączyły go z markizem de Custine'em, który był homoseksualistą? Dlaczego wyjechał z Polski, kiedy jego koledzy walczyli na polu bitwy? Jak wyglądał naprawdę związek Chopina z George Sand?

Twarz Justyny napięła się. Lubowidzki kontynuował pytania.

– Dlaczego nie przeszkadzało mu, że jest z kobietą pozbawioną moralności, jawnie walczącą z Kościołem? I wreszcie, dlaczego jako człowiek wychowany w duchu religii katolickiej nie przestrzegął sakramentu spowiedzi i komunii świętej?

Justyna wybuchła gniewem:

– Jak pan się nie wstydzi wchodzić z butami do duszy mojego dziecka?
Gwałtownie wstała i szybkim krokiem wyszła z pokoju.

*

Ludwika siedziała w głębokim fotelu naprzeciwko księdza Sotkiewicza w zakrystii kościoła Św. Krzyża.

– Przed chwilą matka odebrała z kancelarii Lubowidzkiego pismo z pytaniami, które jej postawił w czasie spotkania. Do pisma jest dołączona notatka tej treści: „W razie odmowy współpracy będziemy zmuszeni położyć arest policyjny na sercu Fryderyka Chopina”.

Ksiądz Sotkiewicz próbował ją uspokoić.

– To są puste groźby. Paskiewicz nie odważy się sprofanować serca geniusza, którego cenił cały świat.

– A jednak Pałac Namiestnikowski wyraźnie rozpoczął proces brudzenia Chopina. Choćby takie pytanie: „Jakie stosunki łączyły go z markizem de Custine’em, który był homoseksualistą?”. Ktoś wysiewa na miasto chmury ulotek. Któregoś dnia mały chłopiec wcisnął mi w dłoń karteluskę z wielkim nagłówkiem: „Wkrótce poznać prawdziwą twarz Chopina”. Pod nim widniał opis orgii w rezydencji markiza de Custine’a.

Przesłuchiwana równie często jak matka, Ludwika nie była informowana, jakie środki prawne zostaną zastosowane wobec niej i serca Chopina. A do tego dochodziła sytuacja w domu.

Podniosła spłoszony wzrok na księdza Sotkiewicza.

– Po moim powrocie z Paryża życie z Kalasantym stało się piekłem. Wystarczyło, że pochwaliłam służącą, a on już ryczał: „Od rozdzielania pochwał w tym domu jestem ja!”. Ustalał, jak mam się ubierać, jak czesać. Zabraniał mi się malować. A na koniec oznajmił: „Nie wolno ci wydawać najmniejszych dyspozycji służbie”. Wychodząc z domu, wypisywał na papierze, jak ma wyglądać mój dzień. Kończył tak: „Jedynym panem w tym domu jestem ja”. Któregoś dnia, po powrocie z sądu, zobaczył mnie siedzącą nad albumem. Wklejałam artykuły, wzmianki i recenzje o Fryderyku. Ryknął ordynarnie: „Mówiłem ci już dwa razy, żebyś przestała zajmować się swoim bratem i poświęciła

więcej czasu dzieciom”. Spytałam więc: „A czy masz mi coś do zarzucenia jako matce?”. „Mam”. Mówiąc to, wyrwał mi z rąk album, pobiegł do kuchni, otworzył popielnik i spalił go.

Po chwili powiedziała zduszonym głosem:

– Chwilami jestem gotowa go zabić.

Nagle wstała. Przerażona swoimi słowami, wybiegła z zakrystii.

KURIA BISKUPIA

Ponadsześćdziesięcioletni archidiakon biskup Jan Dekert miał uduchowioną twarz o harmonijnych rysach, w których wyróżniało się pięknie sklepione czoło i wyraziste, niebieskie oczy.

Posiedzenie kurii biskupiej było w toku. Mówił kanclerz Helmut Rielke, przerażająco chudy, o wyblakłej twarzy ze sterczącym krogulczym nosem i płonącymi wielkimi oczyma oszalałego inkwizytora. Głos niski, donośny. W prostej linii potomek Savonaroli.

– Sprawa jest przykra! Żona czcigodnego doktora prawa, sędziego pokoju, profesora Jędrzejewicza, nie godzi się arbitralnie, aby serce jej wielkiego brata spoczęło w podziemiach, zamiast na powierzchni kościoła. Podczas gdy prawo kanoniczne stanowi, że miejsca na powierzchni kościoła są przeznaczone dla świętych. Według mnie Chopin świętym nie był.

– Dlaczego więc serce Hoffmanowej zostało umieszczone ponad podłogą? Przecież też nie była świętą – odparował Dekert.

– To prawda – replikował Rielke. – Ale Hoffmanowa w czasie Powstania Listopadowego była organizatorką służby sanitarnej kobiet. Życie jej, wypełnione niesieniem pomocy ludzkim cierpieniom, było świętą misją i zasługuje na zaszczytne miejsce przeznaczone dla świętych! Fryderyk Chopin nie tylko nie brał udziału w powstaniu, ale opuścił Polskę do słownie na minuty przed jego wybuchem, co można uznać za ucieczkę.

Na ostatnie słowa kanclerza Rielkego ostro zareagował przewodniczący kurii biskupiej, biskup Karol Benjamin.

– Czy hierarchowie Kościoła nie zdają sobie sprawy, co świat muzyki by stracił, gdyby Fryderyk Chopin zginął od moskiewskiej kuli albo od bagnetu?

Kanclerz Rielke uśmiechnął się zjadliwie.

– To prawda. Kwestia, czy Chopin wyjechał tak jak zaplanowano, czy uciekł z tchórzostwa, nie zostanie rozstrzygnięta nigdy. Bo będzie to tylko słowo przeciwko słowu. Ale czy można zaprzeczyć, że wieloletnia towarzyska życia Fryderyka Chopina była osobą zbrukaną miłosnymi skandalami? A ponadto pogardą dla Kościoła i jego sakramentów?! Wystarczy zajrzeć do jej twórczości literackiej, aby zobaczyć zajadłe spory z religią i wściekłą pogardę dla kleru. I dlatego nawet przy największej miłości dla naszego genialnego rodaka nie uniknie się pytań: „Jak dalece odpryski grzechów George Sand pobrudziły Chopina? I oddaliły od wizerunku świętości pojmowanej przez Kościół?”.

– Tak jak Hoffmanowa była świętą w pełnieniu swojej samarytańskiej misji wobec umierających i rannych, tak Chopin był świętym muzyki – odparł Dekert podniesionym głosem.

– Słowa waszej ekscelencji są bluźnierstwem. Ci, co dobrze go znali, wiedzieli, że nie był religijny i nie przestrzegał kościelnych nakazów. Ponadto z jednym, drobnym wyjątkiem nie tworzył dzieł, które można by zaliczyć do gatunku muzyki religijnej.

Dekert przez chwilę milczał. Po czym, patrząc prosto w twarz kanclerza Rielkego, rzucił:

– Muzyka Chopina była inspirowana natchnieniem, jakim obdarzał go Bóg! Dlatego pytam was, ojcowie, jakim prawem członek kurii biskupiej w Warszawie, który jest pośrednikiem człowieka z Bogiem, ma odwagę oskarżyć Chopina, że z jednym drobnym wyjątkiem nie stworzył dzieł, które można by zaliczyć do gatunku muzyki religijnej? Podczas gdy każda jego nuta jest przesiąknięta natchnieniem, które nie może się narodzić bez namaszczenia bożego?

Rielke uśmiechnął się cynicznie. Dekert podszedł do niego i zagładając mu śmiało w oczy, powiedział bez złości:

– Kanclerzu Rielke... To jest niegodne – walczyć z sercem umarłego geniusza, który nie potrafi się już bronić!

Tego samego dnia Dekert powtórzył księdzu Sotkiewiczowi niemal co do słowa swoją bitwę z Rielkem. Ten złożył ręce, jak do modlitwy.

– Amen.

Archidiakon uśmiechnął się.

– Aby wykluczyć jakiś haniebny gest Lubowidzkiego, wyjednałem u biskupa Benjamina pozwolenie, by do czasu wmurowania urny ponad kościelną podłogą, o co będę zabiegał do ostatniego tchnienia, umieścić ją w katakumbach kościoła Św. Krzyża.

JUSTYNA CHOPIN Z BLISKA

Biografowie Fryderyka Chopina zgodnym chórem zaszeregowali jego matkę, Justynę Chopin, do grupy istot szarych, nieefektownych, żeby nie powiedzieć parafialnych. Posłusznych mężowi. Nie zadali sobie zbyt wiele trudu, aby dostrzec w niej te wszystkie cechy charakteru, którymi obdarzyła genialnego syna. Fryderyk Chopin bez wątpienia odziedziczył po matce niezwykłą wrażliwość, a właściwie nadwrażliwość, pozwalającą mu, jak pisał w nekrologu Kamil Cyprian Norwid, „zbierać kwiaty polne, puchu ani rosy z nich nie otrząsając”. Przejął od niej mocno rozwinięty szósty zmysł i dar niezwykłej wyobraźni. Dzięki nim mógł odczuwać to wszystko, czego Bóg poskąpił zwykłym zjadaczom chleba.

Justyna Chopin dała synowi niezwykłą muzykalność, delikatność w obejściu. Ale też nieprzeniknioność – sama odgradzała się nią od świata zewnętrznego, aby ukrywać ból sieroctwa. Od matki przejął również Fryderyk swój wielki talent aktorski i naśladowczy.

Była osobą czytaną, znającą biegle język francuski. Ponadto miała zdolności literackie i bez trudu rymowała. Jak widać, matka Chopina była kobietą wszechstronnie utalentowaną, tłamszoną jednak agresywnością męża Mikołaja. Dla niego bowiem nadrzędnym celem, prócz dobra rodzinnego, było wypchnięcie syna za granicę, aby tam zdobył uznanie należne jego geniuszowi.

Justyna Chopin od najmłodszych lat interesowała się polityką i wydarzeniami społecznymi. Każdego dnia wczesnym rankiem szła do stoiska z gazetami, aby odebrać odłożony dla niej egzemplarz „Kuriera Warszawskiego”, który namiętnie czytała.

Tego ranka zbudziła się dziwnie podenerwowana. Śnił się jej Mikołaj. Oznaczało to, że z pewnością spotkają ją przykrości. Była przesądna, co zresztą wraz z całym bogactwem jej charakteru odziedziczył

po niej Fryderyk. Nie jedząc śniadania, zbiegła po schodach, aby jak najprędzej dostać do rąk gazetę.

Pan Ambroży Martyna, właściciel stoiska z gazetami, występował w młodości w cyrku pod pseudonimem Ambrosius. Obdarzony potworną siłą, rwał łańcuchy i giął w palcach podkowy. Jego potężne bary, mimo podeszłego wieku, jeszcze nie zwiotczały i ciągle rozsadały znoszony surdut. Ręce wielkie, jak dwa bochny chleba, o mocnych, stalowych palcach. Oczy czarne i groźne, ukryte w gęstych brwiach. A wszystko to osadzone na byczym karku. Niski, jakby dochodzący zza grobu głos wywoływał u słuchaczy dreszcze.

Przywitał Justynę groźnym pomrukiem. Wyciągnął w jej stronę potężną łapę z gazetą:

– To bydlę Argus znowu wsadził państwa do gazety! Pora, aby pan profesor Kalasanty Jędrzejewicz wybił mu parę zębów. Albo poprosił mnie. Chętnie go wyręcę.

Jego zaciśnięte pięści zadały powietrzu parę gwałtownych ciosów, mających ilustrować groźbę.

– Kto to słyszał, żeby takie, za przeproszeniem, byle gównu, co mogę zgnieść w palcach jak karalucha, obrażało przyzwoitych ludzi!

Justyna poczuła gwałtowne bicie serca. Swoim zwyczajem chciała wdać się w rozmowę, ale wrodzona dyskrecja nakazała jej milczenie.

Powiedziała więc od niechcienia:

– Panie Ambroży...

– Wolę, jak mnie się nazywa Ambrosius!

– A więc drogi panie Ambrosius, nie czytuję felietonów Argusa i jest mi obojętne, co wypisuje!

– Ale mnie nie! – zaciętrzewił się i jego potężne łapy przygotowały się do zadaniach nowych ciosów. – Dla mnie nazwisko Chopin to świętość! Grzebanie się w jego rodzinnych sprawach i obrażanie to chamstwo, za które w mojej młodości łamało się gnaty!

Justyna bąknęła coś niewyraźnie i pobiegła w stronę domu. Będąc na półpiętrze, rozejrzała się niespokojnie, czy kogoś nie ma w pobliżu, i otworzyła gazetę. Znalazła miejsce z felietonem Argusa.

Drogi Profesorze Jędrzejewicz,

Tym razem felietonista „Kurier Warszawskiego” ma bardzo trudne

zadanie. Sprawa dotyczy materii niezwykle delikatnej, chodzi bowiem o serce naszego rodaka, Pana Fryderyka Chopina. Już sam fakt, aby zostawić Jego ciało w stanie uszkodzonym w Paryżu, czego Francuzi nie wybaczą nam nigdy, jest wytworem złego smaku. Ale to już się stało, więc choć z obrzydzeniem, trzeba przełknąć tę gorzką pigułkę.

Ale teraz sprawa najtrudniejsza. Podobno Pana żona nie godzi się, aby serce naszego wielkiego rodaka spoczęło w podziemiach, a nie na powierzchni kościoła. Podczas gdy władze kurii biskupiej są zdania, że miejsce na powierzchni kościoła jest przeznaczone dla świętych. A według ojców Kościoła Chopin świętym nie był.

Nie chcę być stroną w tej sprawie. Chociaż trudno zaprzeczyć, że wieloletnia towarzyska życia Chopina była osobą zbrukaną miłosnymi skandalami oraz pogardą dla Kościoła i jego sakramentów! I niestety, nawet przy największej życzliwości dla naszego rodaka, nie uniknie się pytań: Jak dalece odpryski grzechów George Sand pobrudziły Chopina? I oddaliły od wizerunku świętości pojmwanej przez Kościół?

Nie muszę chyba nikogo przekonywać, jak bardzo jest mi drogie wszystko, co polskie. Szczególnie to, co związane z naszą tradycją narodową. Ale w sprawie uporu Pana żony, na granicy szaleństwa, jestem bezradny i zwracam się do Pana, Profesorze, o pomoc. Czy to tak wielki wysiłek zejść po stopniach w dół? I tam, w ciszy, pochylić głowę przed zmarłym geniuszem? Ale w końcu to sprawa między nią a kurią.

Niemniej jednak moja publiczna służba felietonisty każe mi doradzić Pana czcigodnej małżonce, aby zamiast brać się za bary z kurią, która musi respektować rygory prawa kanonicznego, spróbowała utrwalić pamięć o swoim bracie w formie zapisu książkowego.

Marzy mi się przeczytać jej relację z ostatnich trzech miesięcy pobytu w Paryżu, kiedy genialny brat, przykuty do ostatniego łoża, odarty z blichtru, który tak kochał, dzielił się z siostrą okruciami życia. Niech więc Pani Profesorowa Jędrzejewiczowa wspólnie z matką spróbuje wygładzić pewne fałdy na życiorysie Fryderyka Chopina.

Nieśmiało podpowiadam, że pora wreszcie przeciąć niemiłe pytania:

Jaka jest prawda z wyjazdem młodego Chopina? Czy nieświadomy nadciągającej burzy wyjechał, jak miał to zaplanowane? Czy po prostu

uciekł tchórzliwie przed powstaniem, aby uniknąć walki? Tylko wy, Chopinowie wiecie, co w waszej trawie piszczy!

Dalej, Pan Albert Grzymała. Z uwagi na jego nieustanną obecność w życiu Chopina od czasów warszawskich po okres paryski, przetrzystość tej postaci jest konieczna. Brak jej będzie rzucał na Chopina cienie. W myśl porzekadła: „Z kim przystajesz, takim się stajesz”.

Ciągle wracają echa tego, że jako dyrektor banku w czasie powstania nie rozliczył się z powierzonych mu pieniędzy. I... podobno obecnie, w przeciwieństwie do wielu rodaków, którzy cienko przędą, ma się w Paryżu dobrze. I gra ostro na giełdzie. A jak uczy życie, ludzie o skłonnościach do hazardu stają się często ofiarami zmiennych losów fortuny. I ratując się przed klęską, uciekają się do niekonwencjonalnych sposobów.

I na koniec, Panie Profesorze Jędrzejewicz... Niech Pan otoczy siostrę Chopina mężowską troską, aby przy Jej skłonnościach do naruszania dobrego smaku nie sprowokowała okoliczności, z których nie będzie wyjścia. Czyli nawet miejsca dla serca Chopina w podziemiach kościoła Św. Krzyża. A może lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu?

Sprawy, których dotykam w tym felietonie, są tak drogie mojemu sercu, że przyrzekam Panu: mam w zapasie kilka butelek atramentu, aby pisać, pisać i jeszcze raz pisać... W nadziei, że w końcu dowiem się, co w trawie piszczy.

Justyna połknęła ten obrzydliwy tekst z gniewem. Przygryzła usta. Dobrze byłoby wiedzieć, kim jest Argus. A ten Ambrosius ma rację. Czas najwyższy zamknąć niewyparzony pysk tego gazeciarza. Tylko musi to zrobić ktoś inny, bo Kalasanty to bardzo zły adres.

I jak zwykle w trudnych chwilach, skierowała pierwsze kroki do księdza Sotkiewicza, gdzie opowiedziała mu wszystko z detalami.

MÓWI KSIĄDZ SOTKIEWICZ

Nie miałem już wątpliwości, że przyszedł czas, aby napisać rzetelną książkę o Chopinie, stawiając w niej czoła wszystkim pomówieniom.

Kancelistą w moim biurze parafialnym był wtedy Adam Celiński. Zetknąłem się z nim w bardzo dramatycznych okolicznościach. Z kompleksioną z powodu zeza i niezwyklej szpetoty twarzy, usunięty

nagle z pracy w bibliotece miejskiej, rzucił się z mostu do Wisły. Chciał w ten sposób zrobić porządek z nieudanym życiem. Odratowany, trafił do szpitala św. Józefa. Dostał się w ręce doktora Siateckiego, który po wielkich trudach przekonał go, że strata pracy i feler w oku nie są nieszczęściem upoważniającym do odebrania sobie życia.

Doktor Siatecki był domowym lekarzem rodziny Chopinów. Pani Justyna zwróciła się do mnie, czy nie miałbym jakiejś pracy dla Celińskiego. Miał szczęście, bo właśnie zwolniło się stanowisko kancelisty w moim biurze parafialnym. Spodobał mi się. Wybitnie inteligentny, mówiący w dwóch językach obcych. Oczytany, świetnie zorientowany w środowiskach warszawskich. Surowy w sądach i spostrzegawczy. Ale najbardziej ujął mnie szczerością, kiedy przy pierwszej rozmowie wyznał, że choć jest katolikiem, nie praktykuje. „W moich kontaktach z Bogiem nie potrzebuję pośredników”, powiedział. I tak zaczęła się nasza przyjaźń, wyrastająca daleko poza relacje kancelista – proboszcz.

W czasie moich pierwszych z nim rozmów okazało się, że Celiński był wielkim przyjacielem młodego Fryderyka. Najpierw chodzili do tej samej klasy, a później Adam pomieszkiwał na stacji u profesora Chopina.

Szybko odkryłem jego buntowniczy charakter, który mi bardzo odpowiadał. Sam należałem do niepokornych sług Kościoła, do tych, którzy mówią głośno to, co myślą. W związku z czym byłem na bakier z kurią biskupią. A ponieważ w mojej samotni na plebanii brakowało mi bratniej duszy, przed którą mógłbym otwierać skołatane serce, szybko okazało się, że jesteśmy sobie bardzo potrzebni.

Po przeczytaniu tego wstrętnego felietonu zapytałem go, czy mógłby mi powiedzieć coś bliższego o tym Argusie. Wiedziałem tylko, że jest to brat sekretarza kurii biskupiej Temistoklesa Chmury.

Celiński zareagował żywiołowo. Miał wybuchowy temperament i reakcje jego były spontaniczne, na krawędzi nieustannego buntu.

Śmiejąc się dziko, zawołał:

– Ksiądz dobrodzieju chce wiedzieć kto to taki, ten Argus? I skąd się bierze jego zajadłość do Fryderyka? Otóż znam dobrze drania. Jego prawdziwe nazwisko to Chmura. Hiacynt Chmura. Kurdupel

z perkatym nosem i pryszczami rozsianymi po całej gębie. Syn właściciela garbarni, co miał tę straszłą żonę, która była śpiewaczką operową, a Hiacynta widziała jako geniusza muzycznego, zdolnego z Fryderykiem konkurować. Dobrze... Konkurować z Chopinem!

Chodził do tej samej klasy, co ja i Fryderyk. Kiedy we wczesnej młodości Chopina ten potwór, wielki książę Konstanty, zapraszał go do Belwederu, by swoją grą łagodził ataki jego szaleństw, rozpętała się seria anonimów pisanych do Chopinów. „Jesteście złymi Polakami, renegatami, którzy liżą buty Moskalowi tylko po to, aby syn mógł się wybić. A on i tak daleko nie zajdzie. Zresztą są w Królestwie znacznie lepsi od niego. Dla skromności nie będę wymieniać nazwisk. Zrobi to za mnie historia!”. Od pierwszej chwili miałem podejrzenie, że pisała je matka tego Chmury. Zdobyłem papiery pisane jej ręką, dla sprawdzenia charakteru pisma. Poszedłem do grafologa, który potwierdził moje podejrzenia. Ale nie rozdrabniajmy się. Ten Chmura w końcu wyłudował tak jak Fryderyk w konserwatorium. Tyle że Chopinowi szło jak po różach, a temu biedakowi jak po grudzie. I profesor Elsner ciągle dawał jego matce do zrozumienia, że jej Hiacynt powinien myśleć o innej drodze życia. – Celiński był rozbawiony coraz bardziej. – Teraz będzie coś wesołego. Otóż nie dość, że ten Hiacynt był bardziej szpetny niż ja, jeszcze do tego się jękał. I każde wystąpienie przed klasą było dla niego torturą. Fryderyk poddał mu taki pomysł: „Spróbuj to, co masz mówić, śpiewać. Znam jednego śpiewaka, jękał, który nigdy się nie zatnie, śpiewając. A wiesz, dlaczego Elsner nie widzi w tobie iskry bożej? Bo nazywałeś się Chmura. Jak człowiek z takim nazwiskiem może być kompozytorem? Mam więc pomysł. Zmień swoje nazwisko na takie, no... żeby nie obrazić twojego ojca, właściciela garbarni. A więc nazwij się: Skórski... Skórnicki... Skórzewski... Skórczewski... W Polsce każdy, kto nosi nazwisko na „-ski”, jest od razu zdolniejszy. Ja też zamierzam zmienić moje na Chopiński. Bo co to za nazwisko: Chopin? Kto się zatrzyma na kompozycją podpisaną: Fryderyk Chopin? Hiacynt Skórnicki... To brzmi, co? A najlepiej, żebyś miał dwa imiona... Hiacynt Emfazy. Posłuchaj tej melodii: Hiacynt Emfazy Skórnicki!”

Hiacynt opowiedział o tej rozmowie w domu. Rosalinda Chmura wpadła w furję. Szydzenie z rodzowego nazwiska jest przestępstwem!

Zrobiła taką awanturę, że całe konserwatorium umierało ze śmiechu. Pamiętam, jakby to było wczoraj. – Tu przymknął oczy i mówił dalej. – Jesteśmy więc w auli konserwatorium, gdzie trwają egzaminy końcowe ostatniego roku szkolnego klasy fortepianu. Sala wypełniona po brzegi. Z przodu stoi fortepian z odkrytym skrzydłem. Józef Elsner, rektor, stoi na froncie. Wymienia nazwisko: „Hiacynt Chmura”. Hiacynt idzie w stronę fortepianu. Oklaski średniej mocy. Ma tremę, bo nogi ledwie go niosą. Siada. Poprawia stołek. Perkaty nos i pryszczki rozsiane po całej gębie. Dolna warga grubsza. Zwisa, nadając twarzy wyraz pychy. Pierwsze dźwięki trzeciej części sonaty Beethovena *Appassionata*. Już po kilku frazach można się zorientować, że talent Hiacynta jest mierny. Uderzenie płytkie, brak płynności. Gdy wybrzmiały ostatnie akordy, Hiacynt odrywa ręce od klawiatury. Oklaski grzecznościowe. Siada obok matki.

Rosalinda Chmura ma pięćdziesiąt lat, ale pozostała nadal zjawiskowej urody kobietą. Mimo że oklaski szybko ucichły, ona, patrząc na syna, bije mu brawo do bólu dłoni. „Byłeś genialny”, mówi. Głos ma chropawy. Przed laty wspaniała śpiewaczka operowa, w czasie wykonywania arii Królowej Nocy w *Czarodziejskim flecie* Mozarta zerwała struny głosowe. Ale dziś jest jedną z najbogatszych kobiet Księstwa Warszawskiego. Właścicielka kilku garbarni.

JOKER I KRÓLOWA NOCY

Tadeusz hrabia Mostowski – kolejny sznur wplątany w ten węzeł wydarzeń związanych z osobą Fryderyka Chopina. Publicysta, polityk, wydawca, a wreszcie minister prezydujący w Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji Królestwa Polskiego. Aby poznać go bliżej, sięgnijmy do jego dziennika.

Jedni nazywali mnie Jokerem, być może z powodu siły rażenia jaką dysponowałem, korzystając zawsze z mocnego zaplecza. Inni nazywali Kamelonem z uwagi na gwałtowne zmiany w opcjach politycznych.

Byłem wychowany w domu o wysokich tradycjach intelektualnych. Uczyłem się w Warszawskim Collegium Nobilium i przez kilka lat byłem w Paryżu i Londynie. Francuski i angielski ćwiczyłem od dziecka.

Jest w *Hamlecie* czterowiersz, który wyraża wszystko, co może być najwznieśliwsze w życiu człowieka.

*Why, let the stricken deer go weep,
The hart ungalled play;
For some must watch, while some must sleep:
So runs the world away.*

W młodzieńczej naiwności wierzyłem, że Szekspir napisał te słowa z myślą o mnie. Podjąłem decyzję, że zostanę pisarzem. Napiszę dziesiątki książek, które zrobią człowieka lepszym. Niestety. Już pierwsze próby literackie okazały się marne. Błądziłem Bogu, obwiniając Go o niepowodzenia. Piłem. Łajdaczyłem się. Po raz pierwszy zrozumiałem wtedy, że bezgraniczna rozpacz może zepchnąć człowieka do dna piekieł.

Kiedy wydawało się, że zdechnę gdzieś w ryszotku, los postawił na mojej drodze Wizygotę Kropielnickiego, który w roku 1787 wracał do Polski z Bolonii, gdzie w latach 1784–87 studiował u profesora Vendramino Carignanigo nauki polityczne. Król Stanisław mianował go natychmiast Dyrektorem Wywiadu Królewskiego. Wizygota zaczął tworzyć struktury aparatu wywiadowczego. Potrzebował ludzi obdarzonych fantazją, bezwzględnością i... cynizmem. Przykro o tym mówić, ale odnalazł je we mnie. Zaczęliśmy prążyć misterną pajęczynę informatorów i agentów wpływu. Poczułem potęgę władzy. Mogłem manipulować wolą człowieka. Zobaczyłem ludzką pazerność na pieniądze. Chciwość zaszczytów. Szybko odkryłem, że mogę spożytkować swoje niewyżyte tęsknoty literackie. Tysiące donosów, informacji i portretów psychologicznych łotrów i ludzi prawych były niezwykłą literaturą. Tandetną, chwilami wręcz okrutną. W sumie zbiór obrzydlistwa, jakiego nie urodzi najbogatsza wyobraźnia pisarza.

I tak panosząc się w ludzkich losach, łamiąc prawa, chronieni bezkarnością, za cenę przekupstwa, szantażu i innych najpodlejszych środków, zbudowaliśmy z Wizygotą Kropielnickim instrument, przy pomocy którego, mogliśmy penetrować wszystkie ruchy przeciwników króla Stanisława.

I nagle szok! Rok 1789! Rewolucja we Francji.

Król był przeciwny używaniu w polityce sztyletu czy gilotyny. Ale Wizygota, wychowany na radykalizmie Machiavellego, widział w Rewolucji Francuskiej szansę na obronę polskich interesów. W 1791 roku, bez wiedzy króla, nawiązał kontakt z Talleyrandem, któremu Konstytuanta zleciła: „wynieść płomień rewolucji poza granice Francji”!

Genialny drapieżnik szybko dostrzegł, że Anglia, bez której nie może się odbyć żadne polityczne świętowanie, stanie się wkrótce jednym z najważniejszych graczy na arenie europejskiej. Aby ją kupić dla rewolucji francuskiej, postanowił osłabić jej odwiecznego wroga, Rosję. Wysłał do Polski swojego sekretarza Luciano Pellegriniego, aby rozniecił zarzewia buntu i z pomocą gilotyny zerwał kraj z carskiej smyczy. Pellegrini i Wizygota znają się dobrze. W latach 1784–87 studiowali w Bolonii nauki polityczne u profesora Vendramino Carignanigo.

Prace nad konstytucją zbliżały się do kulminacji. Aby pomóc królowi w jej uchwaleniu, postawili na rzecz nigdy dotąd nie stosowaną przez polskich monarchów: morderstwo polityczne.

Przewidując, że Ksawery Branicki, Szczęsny Potocki i Seweryn Rzewuski, hetmani koronni, są to trzy kły w szczęce Katarzyny, którymi przegryza od lat królowi aortę, Wizygota i Pellegrini zarażeni radykalizmem Machiavellego błagali króla: „Pozwól nam zlikwidować te kanalie!”. Monarcha nie zgodził się na rozwiązanie ekstremalne. Wizygota podał się do dymisji. Ale nie usunął się z polityki.

W okresie konfederacji targowickiej, kiedy rozpoczął się bolesny proces upadku Polski, z jego polecenia opuściłem kraj, aby w Paryżu pośredniczyć w rozmowach między emigrantami a władzami rewolucyjnymi. Z rekomendacji Pellegriniego spotykałem się z Talleyrandem, który otrzymał polecenie rozlania rewolucji na Polskę. Zobaczył we mnie materiał dla swoich agenturalnych celów i otoczył szczególną troską, a w czasach, kiedy głowy przywódców rewolucji spadały pod nożem gilotyny do kosza z trocinami, „szczególna troska” była konieczna. Dzięki „parasolowi Talleyranda” nastąpił mój zdumiewający sekwens szczęścia. Po upadku żyrondistów byłem więziony, groziła mi śmierć. „Dziwnym” zbiegiem okoliczności uniknąłem gilotyny. W końcu roku 1793 wróciłem do Polski. I tutaj zostałem natychmiast

internowany. Również z „dziwnych” powodów, autorstwa Talleyranda, uwolniono mnie.

W roku 1794, podczas Powstania Kościuszkowskiego, piastowałem wysokie stanowiska we władzach powstania. Po upadku powstania poszedłem w niewolę rosyjską. Uwolniono mnie z niej w 1795 na mocy pewnych „zobowiązań”. Udałem się do Francji, gdzie spotkałem się z moim dobroczyńcą Talleyrandem. Po powiadomieniu go o moich moskiewskich umocowaniach i z jego błogosławieństwem rozpocząłem subtelną grę na dwóch klawiaturach. No cóż. Nie pachnie to rezedą. Gnijąc w brudzie polityki, miałem nieustannie okrutną świadomość, że każda decyzja, skierowana obojętnie w którą stronę, cuchnęła padliną. Wierność przysięgi czy jej złamanie mają tę samą woń szamba!

Od Talleyranda otrzymałem polecenie powrotu do kraju. Było to związane z przyszłymi planami Napoleona. Talleyrand, minister spraw zagranicznych cesarza, wiedział, że trzeba zacząć budować profrancuskie nastroje w Polsce. Jako jeden z jego najlepszych emisariuszy nadawałem się do tego wysmienicie.

W roku 1802, po powrocie z Francji, założyłem w swoim pałacu na Nowolipiu nowoczesną drukarnię. Wydając książki, miałem dostęp do elit literackich, zamieniając wielu pisarzy w agentów wpływu. Uwikłany w działalność wydawniczą i wywiadowczą, finansując olbrzymi przepływ agentów z Francji, którzy pod moim dachem znajdowali wikt i opierunek, w ciągu kilku lat wpadłem w olbrzymie długi i groziła mi utrata nie tylko pałacu, ale i dóbr rodzinnych. I w tym momencie na scenę weszła Rosalinda Chmura i jej mąż, właściciel kilku garbarni.

*

Początek znajomości Rosalindy z Mostowskim datuje się na 1806 rok. To wówczas Rosalinda na dyplomowy egzamin w warszawskim konserwatorium w klasie śpiewu wybrała arię Królowej Nocy z opery Mozarta *Czarodziejski flet*.

Pasowała do niej idealnie. Zjawiskowej urody kobieta o przepyszonym biuście, długiej szyi, z puklami czarnych jak heban włosów, które stanowiły największą ozdobę pięknej twarzy, stała na scenie, śpiewając:

*Piekielna zemsta kipi w moim sercu,
Śmierć i rozpacz płonie wokół mnie!
Skoro Sarastro nie zginął z twojej ręki!
Słuchajcie, bogowie zemsty,
słuchajcie matczynej przysięgi!
Ja zrobię to sama! Tym sztyletem!*

Olśniewający śpiew i wspaniały wyraz aktorski porwały widownię. Rektor Elsner chwycił ją w ramiona. Odwrócił się do stojącego za jego plecami wysokiego mężczyzny:

– To jest klejnot. Diament najwyższej próby! Jeżeli ktoś wyłoży pieniądze na realizację arcydzieła Mozarta *Czarodziejski flet*, znajdzie w tej kobiecie Królową Nocy, o jakiej można tylko śnić.

Do Rosalindy podszedł mężczyzna.

– Nazywam się Tadeusz Mostowski. Jestem recenzentem. Jako Smakosz odkryłem przed trzema laty pani urodę i zapowiedź wielkiego wokalnego talentu. Dzisiaj jestem dumny, że to boskie ciało kryje genialną sopranistkę! Jeżeli kiedykolwiek będę potrzebny, aby podtrzymać drabinę pani sławy, jestem do usług.

Wręczył jej wizytówkę.

Rosalinda mimo wielkiego talentu była prostytutką. Wszystko robiła szybko, zachłannie. Przeczytała ozdobne litery i podniosła oczy na Mostowskiego.

– Ooo! To pan jest hrabia... A jak pan widzi to podtrzymywanie drabiny sławy?

– Rektor Elsner jest równocześnie dyrektorem opery. Naszym marzeniem od lat jest realizacja *Czarodziejskiego fletu*. Dzisiaj, po pani triumfie, marzenie to może stać się realne. Tylko, niestety, wystawienie opery jest bardzo kosztowne.

– Ile wam trzeba pieniędzy?

Mostowski i Elsner milczeli. Rosalinda odwróciła się do męża.

– Reluś, powiedz im, że dla mnie dasz sobie odciąć obie ręce.

Religiusz Chmura, pięćdziesięcioletni właściciel kilku garbarni, był nazywany przez pracowników panem Relkiem. Niezgrabny, z perkatym nosem, uniesiony sukcesem Rosalindy patrzył na nią w ogłupiałym zachwycie. Klepnęła go prostacko po ramieniu.

– Słyszałeś Reluś. Pan hrabia Mostowski i rektor Elsner chcą mnie zatrudnić w operze.

Posłała Mostowskiemu powłóczyście spojrzenie.

Już wkrótce w sali prób Teatru Narodowego Rosalindzie akompaniował sam Elsner.

*Skoro Sarastro nie zginął z twojej ręki!
Słuchajcie, bogowie zemsty,
słuchajcie matczynej przysięgi!
Ja zrobię to sama! Tym sztyletem!*

Oczy jej świeciły dziko, gdy śpiewała.

Elsner wstał od fortepianu. Objął ją po ojcowskiemu ramieniem.

– Warszawa padnie przed panią na kolana.

Nie usłyszała komplementu.

– Chciałabym jeszcze raz wrócić do tego miejsca: „Piekielna zemsta kipi w moim sercu, śmierć i rozpacz płonie wokół mnie!”

Do pokoju wszedł Mostowski. Był bardzo zdenerwowany. W ręce zaciskał gazetę. Rosalinda także poczuła niepokój.

– Co się stało?

Mostowski rozłożył szpalty gazety i zaczął czytać:

– „Na ostatnim, dyplomowym pokazie w Instytucie objawiła się Królowa Nocy. Jej nazwisko to: Rosalinda Chmura. Żona znanego przedsiębiorcy Religiusza Chmury, zwanego «Królem Garbownictwa». Jej uroda i talent wokalny obezwładniły mnie!”

– No, ładnie mnie ujął... Co to za jeden?

– Katon. To jego pseudonim literacki.

– Czytaj dalej!

– „Ze sceny pada pochwała bohaterstwa i deklaracja, że pozycję człowieka w społeczeństwie wyznaczać powinny zasługi, a nie urodzenie. Rodowód pani Rosalindy potwierdza to przesłanie. Przyszła odtwórczyni Królowej Nocy urodziła się w zapadłej wsi Głuchy. Jej imię i nazwisko to Tekla Wyrwał. Do szesnastego roku życia pasła krowy. Aż trudno uwierzyć, że pani Rosalinda Chmura jeszcze kilka lat temu nie potrafiła czytać i pisać”.

– Co za skurwysyn! – warknęła.

Mostowski przygryzł wargi.

– Nie mogę czytać dalej.

Rosalinda wyszarpnęła gazetę z jego rąk.

– „Głośno opróżniała nos. Mlaskała jak prosię. Nie potrafiła posługiwać się nożem i widelcem. I tylko pragnienie zrzucenia z grzbietu chomąta pozwoliło jej pokonać analfabetyzm”.

Elsner i Mostowski nie wiedzieli, jak się zachować.

*

Premiera w Teatrze Narodowym. Rosalinda właśnie kończyła arię Królowej Nocy.

*Piekielna zemsta kipi w moim sercu,
Śmierć i rozpacz płonie wokół mnie!
Skoro Sarastro nie zginął z twojej ręki!
Słuchajcie, bogowie zemsty,
słuchajcie matczynej przysięgi!
Ja zrobię to sama! Tym sztyletem!*

Dźwięki jej koloratury sięgały nieba. Skończyła. Rozległ się huragan oklasków. Na scenę wnieśli kosze kwiatów.

Minęło kilka dni. Rosalinda miała świadomość, że rzuciła Warszawę na kolana. Leżąc na szezlongu, przyjmowała gości. Naprzeciwko niej siedzieli Elsner i Mostowski.

– Bilety wyprzedano na dwa miesiące – mówił podniecony Mostowski – A oto fragment recenzji w „Kurierze Polskim”: „Pani Rosalinda Chmura przeniosła nas w rejony, gdzie królują tylko bogowie. Doskonałością wokalu przerosła arcydzieło Mozarta!”

– Kto to napisał?

– Nooo... Katon...

Rosalinda wyrwała Mostowskiemu gazetę z rąk.

– I ty masz odwagę przypominać mi nazwisko bydlaka, który napisał, że Rosalinda Chmura głośno opróżniała nos, mlaskała jak prosię, nie potrafiła posługiwać się nożem i widelcem?!

Podarła gazetę na strzępy.

– Zostawcie mnie! Chcę być sama!

Elsner podszedł od niej, nim wyszli.

– Sprawa jest bardzo delikatna. Arie Królowej Nocy są wyniszczające i naszym obowiązkiem jest poprosić panią, aby dla swojego dobra zgodziła się na dublerkę.

– Nigdy! Partia Królowej Nocy jest zarezerwowana dla mnie.

Elsner i Mostowski stali jak zamurowani. Nie przywykli do takich sytuacji.

Podczas ósmego przedstawienia z rzędu, po brawurowym wykonaniu arii ze sztyletem, widownia krzyczała jak zawsze: „Encore!”. Rosalinda znowu bisowała. Krystaliczne dźwięki jej koloratury powalały słuchaczy. Nieoczekiwanie, nagle... głos jej urwał się. W grobowej ciszy opadła kurtyna.

Diagnoza lekarska była okrutna: zerwane struny głosowe. Pan Relek woził żonę do najlepszych specjalistów Berlina, Petersburga, Wiednia, Paryża. Ale werdykt lekarski był ten sam, nieubłagany: trwała degeneracja strun głosowych. Zrozpaczona wpadła w depresję.

– Czy będę jeszcze śpiewała?

Doktor Frieschke mówił ledwie słyszalnym głosem:

– To wie tylko On. Na górze.

Po powrocie do Warszawy Rosalinda zaczęła miewać napady szału. Miotła się po pokoju jak obłąkana. Otwierała kredens, wyszarpując z jego wnętrza szklane naczynia. Potem roztrzaskiwała je o blat stołu. Ściągała ze ścian obrazy, łamała krzesła. Relek siedział wgnieciony w fotel.

Nagle Rosalinda wyciągnęła z szuflady komody nieznane jej sznurowane buciki z cholewką.

– Czyje to chodaki?

– Mojej pierwszej żony, Weroniki.

– Dlaczego trzymasz je w szufladzie komody?

– Nie wiem.

– To ja ci powiem. Ciągłe ją kochasz. A ja dla ciebie jestem dziwką, którą możesz klepać po cyckach i używać, kiedy ci tylko kutas stanie. Zabierz to gównno.

Chciał coś powiedzieć, ale zakryła mu usta dłonią.

– Nie będę mieszkać z duchem twojej żony! Masz mi znaleźć nowe mieszkanie. Zrozumiałeś?

Kilka dni później Mostowski zastał Rosalindę samą w domu.

Przywitała go w przezroczystym szlafroku zarzuconym na gołe ciało. Siedziała przy stoliku, na którym stała do połowy opróżniona karafka z alkoholem.

– Gdzie mąż?

– Siedzi w swoim pokoju i płacze.

– Jest do wynajęcia od hrabiego Augusta Moszyńskiego jego pałac na Miodowej. Ale hrabia chce zatrzymać dla siebie dwa apartamenty.

– Nie możesz tego zmienić?

– Nie, bo Wielki Mistrz otworzy ci drogę do masonerii.

Zwierzęcy instynkt podpowiedział jej, że masoneria może być drabiną, po której będzie się wspinać. Spojrzała na niego.

– Pomożesz mi w nowym życiu?

– Tak! Może los tak zrzędził, że odwołując cię ze świata opery, gdzie wszystko jest nienaturalne, wymyślone, każe ci odegrać jeszcze większą rolę niż Królowa Nocy na „prawdziwej scenie życia?”

Po chwili oboje pogrążyli się w szaleństwie.

WIELKI MISTRZ

Wielki (i stary, bo osiemdziesięcioletni) Mistrz na widok Rosalindy podbiegł i złożył na jej dłoni pocałunek. Wąskie, bezzębne usta i przenikliwe oczy. Miał na sobie ciężki szlafrok. Ujął ją za rękę.

– W życiu jesteś jeszcze piękniejsza niż na scenie.

Przyciągnął ja bliżej do siebie.

– Byłem na tym tragicznym przedstawieniu, kiedy straciłaś głos. Ale nie zostaniesz sama ze swoim cierpieniem. W niedługim czasie dostaniesz propozycję, aby wejść do łoży. Jest to na ogół męska sprawa, ale dla ciebie zrobię wyjątek. Chodź... Coś ci pokażę.

Jego pałac miał rozległe korytarze i schodki wybite w murach. Wielki Mistrz otworzył małe drzwiczki, zamaskowane w kamiennej ścianie. Weszli do dużej sali. Na ścianie rozpięty był ogromny Chrystus. Pod nim stał prosty, drewniany stół i kilka krzesel. Na stole leżała trupia

czaszka. Posadził Rosalindę na krześle. Usiadł naprzeciwko i pochylił się nad nią.

– Z tego miejsca prowadzą nici niemal do każdego zakątka Europy. Wkrótce dowiesz się o powiązaniach i możliwościach Wielkiej Łoży na Wielkim Wschodzie Polskim. Masoneria potrzebuje nieustannej odnowy, ludzi obdarzonych niezwykłymi cechami osobowymi. Klęska wywołała w tobie gniew i nienawiść do świata. Te emocje są mi potrzebne. Wyraziłaś je w *Czarodziejskim flecie* słowami:

*Śłuchajcie bogowie zemsty, słuchajcie!
Ja zrobię to sama... Tym sztyletem!!*

Podszedł do szafki. Wyciągnął niedużą butelkę i kieliszki.

– W tej butelce jest „Nalewka Wielkiego Mistrza”. Rozjaśnia umysł. Napełnił kieliszki. Wypili równocześnie.

– Zbliżenie Mostowskiego do ciebie nie jest przypadkowe. Realizuje on plan Talleyranda, ministra spraw zagranicznych cesarza. Zakłada budowanie dobrej opinii o Napoleonie, który lada chwila przekroczy granicę Polski. Czy masz świadomość, że w obecnej sytuacji jedynym człowiekiem, który może przywrócić nam wolność, jest cesarz Napoleon?

– Ja mam tego pewność! To jest mój Bóg! Czy może pan powtórzyć? Wielki Mistrz napełnił kieliszki. Wypili zachłannie.

– Dla celów propagandowych potrzebne są pieniądze. Ty i twój mąż jesteście opatrzością. Szkoda, że jestem stary...

– No to... Niech pan spróbuje swoich sił.

Hrabia August Moszyński okazał się zdumiewająco sprawny.

Nie brzydziła się obślizgłymi ustami Wielkiego Mistrza. Wiedziała, że on i jego masoni będą już wkrótce do jej dyspozycji.

*

Markiza de Vallantour siedziała za stołem, wpatrzona w wielką kryształową kulę. Po jej obu stronach stali Mostowski i Wielki Mistrz. Sypnęła jakieś suche zioła, które buchnęły gęstym dymem. Wychyliła się do Rosalindy.

– Ta szklana kula i dymy to tylko dla widowni. Reszta jest w potęgde mózgu i sile woli, która może przenieść ducha w inne rejony. Zastanawiasz się, po co ten wstęp?

Twarz jej miała coś z wyleniałego szczura. Wystające przednie zęby i białe oczy budzące grozę. Mówiła dalej:

– W czasie Rewolucji Francuskiej nawet gilotyna nie mogła pokonać mojej wewnętrznej siły. Kat wprawił ją aż trzy razy w ruch i za każdym razem siła ta zatrzymywała nóż. Widząc w tym cud, paryski motłoch darował mi życie. To cudowne ocalenie przekonało mnie, że Bóg pozostawił mnie na ziemi w jakimś szczególnym celu.

– Tego tragicznego wieczoru, kiedy śpiewając arię ze sztyletem, straciłaś głos, markiza de Vallantour i ja byliśmy na widowni. Wstrząśnięta twoją tragedią, markiza zobaczyła w tobie wewnętrzną siłę. Uznała, że los okaleczył cię dlatego, że przeznaczył do rzeczy niezwykłych. Zgarnął ze sceny iluzji i przeniósł na scenę prawdy! – zwrócił się do Rosalindy Wielki Mistrz.

Markiza wcisnęła w dłonie Rosalindy sztylet o długim ostrzu.

– Proszę jednym, mocnym sztychem zatopić sztylet w moim sercu.

Rosalinda spojrzała z przestachem na Wielkiego Mistrza. Gestem dał jej znak, aby wykonała polecenie. Kiedy ostrze było o milimetry od serca markizy, coś je gwałtownie zatrzymało.

– Proszę uderzyć jeszcze raz. Mocniej!

Rosalinda skierowała sztylet w pierś markizy. Ostrze zatrzymało się ponownie. Markiza wyrwała sztylet z jej rąk. Podała Mostowskiemu i ustawiła Rosalindę piersią do niego.

– Aby przekonać Rosalindę o jej wewnętrznej sile, proszę zatopić ostrze w jej sercu – powiedziała, po czym krzyknęła głośno do Mostowskiego: – Pchnięcie! Całą siłą!

Ostrze i tym razem zatrzymało się. Markiza posadziła Rosalindę na krześle. Sama usiadła naprzeciwko.

– Próba ze sztyletem utwierdza mnie w przekonaniu, że pani Rosalinda jest obdarzona przez stwórcę niespotykanym darem. Może w przyszłości dokonać wielu rzeczy, przerastających wyobraźnię.

RYWALIZACJA

W konserwatorium odbywały się ostatnie egzaminy. Syn Rosalindy Hiacynt wykonał swój program i rektor Elsner zapowiedział następnego wykonawcę:

– Fryderyk Chopin.

Towarzyszył mu huragan oklasków. Rosalinda skrzywiła się. Patrzyła na Fryderyka Chopina, jak niesiony brawami niemal płynie do fortepianu, siada. Oklaski pomału cichły. Fryderyk położył palce na klawiszach i wydobył pierwsze takty *Für Elise* Beethovena.

Rosalinda patrzyła na Chopina z zawiścią. Ostatnie akordy. Fryderyk oderwał ręce od klawiatury. Ale zamiast wstać, zaczął improwizować na tematy z *Für Elise*. Robił to genialnie.

Rosalinda wychrypiała do Hiacynta:

– Dlaczego ten zdechłak nie trzyma się programu? Improwizacje na egzaminie są zabronione przez rektora Elsnera!

Twarz wykrzywił jej grymas zawiści.

Powodów do niej Fryderyk Chopin da jej wkrótce znacznie więcej.

RECENZJE

Potrząsając płachtami „Kuriera Polskiego”, Rosalinda zdartym głosem czytała Mateuszowi Lubowidzkiemu recenzję z popisu w konserwatorium.

– „Fryderyk Chopin, chociaż jeszcze student ostatniego roku konserwatorium, dał się poznać jako mistrz pierwszorzędny. Wprawił wszystkich w zdumienie, udowadniając, że jest bardzo utalentowanym młodzieńcem o cechach genialności”. – Przerwała, przesiadła się na fotel naprzeciw Lubowidzkiego, po czym kontynuowała. – „Przedziwna delikatność jego uderzenia, biegłość techniczna, cieniowanie wynikające z najgłębszego odczucia, a także improwizacja na tematy *Für Elise* noszą znamiona geniuszu i pozwalają w tym młodym wirtuozie uznać artystę, który zjawia się na muzycznym horyzoncie Warszawy jako jeden z najjaśniejszych meteorów”.

Z furią zgnoiła gazetę, ale za chwilę ją rozprostowała i wróciła do recenzji.

– O Hiacyncie ten Koneser pisze tak: „Hiacynt Chmura, syn pani Rosalindy Chmury, niegdyś wielkiej diwy operowej, porwał się na sonatę Beethovena *Appassionata*. Ponieważ regulamin konserwatorium pozwala brać na popisy dowolne utwory, młody Chmura miał odwagę zmierzyć się z ekstremalnie trudnym arcydziełem Beethovena. Genialny kompozytor obnażył bezlitośnie jego dyspozycje, potrzebne do zawodu wirtuoza!”.

Rosalinda wyciągnęła z kredensu olbrzymią karafkę z alkoholem i dwa kieliszki. Nalała trunku i wypila zachłannie swój kieliszek. Potem drugi. Gdy ochłonęła, zjadliwym tonem spytała:

– Co to za jeden, ten Koneser?

Chwyciła ciężką karafkę za szyjkę, przyłożyła do ust. Opróżniła do połowy, po czym wrzasnęła do Lubowidzkiego:

– Masz mi odnaleźć jego nazwisko!

Podbiegła do kredensu i cisnęła karafką w szklane drzwi. Lubowidzki siedział nieporuszony. Jego zawód policjanta wymagał, by nie dziwić się niczemu.

*

Kilka dni później w pałacu Rosalindy, przy obficie nakrytym stole, biesiadowali Rosalinda, Lubowidzki, jej syn Hiacynt i hrabia Mikołaj Nowosilcow.

Car Aleksander przysłał go do Wielkiego Księstwa Warszawskiego, aby pilnował księcia Konstantego. Chcąc mieć całkowitą kontrolę nad sytuacją w Warszawie, Nowosilcow powołał Centralne Biuro Policji.

Dominującymi cechami charakteru hrabiego były pycha i arogancja. Rosalinda od dawna była jego kochanką. Oboje mieli skłonności do alkoholu. Tego dnia gospodyni, już mocno pijana, zwróciła się do niego szorstko:

– Nie mów mi, że twoje policyjne kundle potrzebują czasu, aby wydusić z redakcji nazwisko tego Konesera.

Nowosilcow zaśmiał się.

– Za kilka dni dobierzemy się do niego.

Rosalinda, nie przerywając jedzenia, warczała:

– To gazetowe ścierwo wynosi zdechlaka Chopina pod niebiosa, aby odebrać Hiacyntowi wiarę w siebie. Jego ojciec, francuskie gównno, ma w życiu dwa cele: stratować obcasami każdego, kto zagraża talentem jego synowi i jak najszybciej wywieźć go za granicę.

– Nie wywiezie. Nie dam mu paszportu i zablokuję stypendium, na jakie liczy. Ale to będzie za dwa lata. Dzisiaj Konstanty jest zakochany w tym grajku i dlatego trzeba brudzić go ostrożnie, aby nie dostać po mordzie.

– Znaczy co? Skopać po cichu? Połamać gnaty?

– Nie wolno go tknąć nawet palcem. Trzeba uderzyć w ojca. – Odwrócił się do Lubowidzkiego. – Wywleczesz ze swoją gazeciarską zgrają jego trzy grzechy: Wciśnięcie kolanem przez syna matce carów poloneza. Popis przed Aleksandrem, za co dostał złoty pierścień z brylantem. Wreszcie, niech Warszawa zobaczy jego największą hańbę: wpychanie syna do Belwederu, aby fortepianem włożył w dupę Mongołowi.

Hiacynt wyraźnie jeszcze nie pozbiierał się po okrutnej recenzji. Nowosilcow zabuczał do niego z rosyjską wylewnością.

– *Synok moj...* Powiedz sobie tak, jak robimy to my Rosjanie, kiedy nas boli dusza: „*Naplewat na wsio!*”. I powtarzaj każdego dnia rano: „Jestem lepszy od Chopina i będę wielkim pianistą!”

Hiacynt zakrył twarz oboma rękami i wybuchnął szlochem. Rosalinda przechyliła się do niego gwałtownie:

– Nie przekonuje cię to, co mówi hrabia Nowosilcow?

– Nie – wyjąkał Hiacynt. – Bo ja nie mam talentu. I do tego jestem jąkałą! Wczoraj Chopin przy całej klasie powiedział: „Spróbuj to co masz mówić zaśpiewać. Znam jednego śpiewaka, który śpiewając, nigdy się nie zacina”.

Następnego dnia Rosalinda siedziała w konserwatorium naprzeciw rektora Elsnera w jego gabinecie w konserwatorium i krzyczała chrapliwym głosem:

– Wczoraj Chopin zranił mojego syna.

– W jaki sposób?

– Przypomniał mu, że jest jąkałą. I aby go do reszty upokorzyć dodał: „A wiesz, dlaczego Elsner nie widzi w tobie iskry Bożej? Bo jak

człowiek z nazwiskiem Chmura może być kompozytorem? Zmień swoje nazwisko na takie, żeby nie obrazić twojego ojca, właściciela garbarni. A więc nazwij się: Skórski... Skórnicki... Skóraczewski!”

Uderzyła pięścią w stół.

– Czy po takich obelgach mój syn jest w stanie grać publicznie na miarę swojego wielkiego talentu?

Po chwili przykrej ciszy kontynuowała:

– Na ostatniej wywiadówce dał mi pan do zrozumienia, że mój Hiacynt powinien myśleć o innej drodze życia.

– Niestety, z przykrością to potwierdzam. Może powinien przerzucić się na dziennikarstwo. Jego muzyczne analizy są wybitne.

– I nie chce pan widzieć, że ojciec Chopina, z bandą ścierwojadów takich jak Koneser, robi wszystko, aby zdeptać Hiacynta i zrobić miejsce dla cherlaka Chopina?

– Czego właściwie pani ode mnie żąda?

– Wykreślenia Chopina z listy studentów.

– Przepraszam, droga Rosalindo, ale to ja decyduję, jakie rygory należy zastosować wobec jego żartów. Przyznaję, zachował się brzydko i za to dostanie surową naganę. Może nawet z wpisaniem do akt.

– Naganę może pan sobie wsadzić w dupę! Choćbym miała czekać całe życie i poświęcić miliony, znajdę sposób, by ukarać tego wymoczka Chopina za to, że zabił w moim dziecku wiarę w siebie! Dopadnę bydlaka. Obojętne, czy będzie żywy, czy umarły. I wyskrobię o nim pamięć po wieki wieków!

Szybkim krokiem ruszyła ku wyjściu. W drzwiach odwróciła się i wychrypiała:

– Pan trzyma stronę Chopina, bo ojciec jego jest Francuzem, a pan Niemcem. A te dwa podłe narody zawsze się dogadają, aby zaszkodzić utalentowanemu Polakowi!

Wyszła, trzaskając drzwiami.

PROFESOR MIKOŁAJ CHOPIN

Profesor Mikołaj Chopin, lat około pięćdziesięciu, kończył ostatnią lekcję w Wojskowej Szkole Aplikacyjnej. Trzydziestu krótko